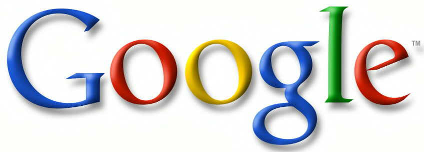
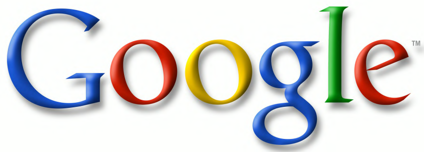
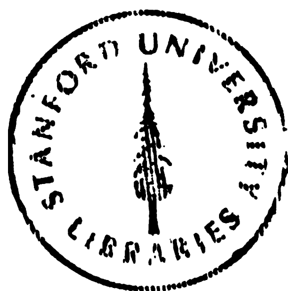


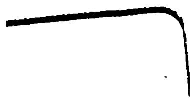


K. Tetmajer

POEZYE




STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES







POEZYE

I

Tegoż autora wyszły:

POEZYE. Serya I. Wyd. trzecie. Rb. 1.—, opr. Rb. 1.40.

POEZYE. Serya II. Wydanie trzecie. Rb. 1.—, opr. Rb. 1.40.

POEZYE. Serya III. Wydanie drugie. Rb. 1.—, opr. Rb. 1.40.

POEZYE. Serya IV. Wydanie drugie. Rb. 1.—, opr. Rb. 1.40.

POEZYE. Serya V. W druku

WYBÓR POEZYI. (Wyczerpany).

ANIOŁ ŚMIERCI. 2 t. w jednym. Wyd. trzecie. Rb. 1.80.

MELANCHOLIA. Drobne utwory prozą. Wydanie drugie. Rb. 1.—, opr. 1.40.

OTCHŁAŃ. Fantazya psychologiczna. Wyd. drugie. Rb. 1.—, opr. Rb. 1.40.

NA SKALNEM PODHALU. I. Wydanie drugie. Rb. 1.10, opr. Rb. 1.50.

NA SKALNEM PODHALU. II. Rb. 1.30, opr. Rb. 1.70.

PANNA MERY. Powieść. Rb. 1.80.

WRAŻENIA. Nowele, obrazki i szkice literackie. Rb. 1.—, opr. Rb. 1.40.

ZATRACENIE. Romans. W druku.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER



POEZYE

I

Wydanie trzecie



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1905

Przeżytym.

Pierzchają cudne fantazyi widziadła,
Jak rozpędzone rannym wiatrem mgły — —
Gdzie natchnień tęcza?... Spłowiała i zbladła...
Gdzie wiary zorza?... W otchłanie zapadła...
Gwiazda nadziei gdzie?... Pomrok ją ćmi...

Gdzie myśli dzika, zuchwała potęga?
Gdzie uczuć bujny, rozkiełzany lot?
Gdzie moc, co — zda się — w nieskończoność sięga?
Znikła, jak świetna meteoru wstęga,
Zgasła, jak piorun, przebrzmiała, jak grzmot...

Nic nie zostało w zdruzgotanej duszy,
Oprócz pamięci o minionych dniach,
Której mściwego głosu nic nie zgłuszy,
A głos ten łamie, obala i kruszy,
I budzi zgrozę i rozpacz i strach.

I huczy głos ten: »Stargałeś swe siły,
Zgasł żar płomienia, co w twem sercu tlił,

Podobne stało się do lodu bryły;
Złamane skrzydła myśl twoją zdradziły
I ze sfer górnych padła w proch i w pył.

I pójdziesz — wiecznie ścigany przezemnie,
Ust mych straszliwy słysząc wszędzie ton —
Z sercem, jak dawniej, chcącem czuć daremnie
Z myślą, co próżno nad światowe ciemnie
Zrywa się w jasność idealnych stron.

Pójdziesz w swą drogę dalej, a ta droga
To ciemna, głucha i posępna noc,
Ocean groźny, pustynia złowroga,
Przed każdym krokiem zadrży twoja noga,
Bo już nie wierzysz w swoją własną moc.

Bo myśl już nie ma skrzydła, które dźwignie,
Bo w sercu nie ma już płomiennej skry,
Która w ciemności, jak pochodnia mignie...
A wszędzie, wszędzie widmo się doścignie
Innych, minionych niepowrotnie dni.

Idź, cieniu własny!... A gdy się nie wierzy
W swoją moc własną, to już wstrzymać krok?
Rzucić ten sztandar, który ręka dzierży,
I w tył się cofnąć z szeregu rycerzy
I nie na słońce, lecz w dół zwrócić wzrok?

Więc już ustąpić z bojowej areny,
Gdzie ślubowało się do końca stać?
Od ust oderwać grzmiący róg wojenny,
Strzaskać za ciężki miecz, a więc niecenny,
Swój posterunek w cudze ręce zdać?

O nie!... Bez wiary, nawet bez nadziei,
Że się potrafi przeciwności zmóc,
Na posterunku wytrwa — aż z kolei
Śmierć go zeń wyrwie — ten, kto dla idei
Miłość ma w duszy, bo miłość — to moc!

I przyjdą, przyjdą te godziny jeszcze,
Gdy trzeba będzie bratni szereg wzmóc,
Że chwycisz sztandar w dłoń twoją, jak w kleszcze,
I świsną miecza zamachy złowieszcze,
I róg twój zagrzmi, bo miłość, to moc!

Patrząc ku Tatrom.

Tatry! Spoglądam z tęsknoty żałobą
Ku wam, błyszczącym w słońca zorzy złotej...
Na długo ja się pożegnałem z tobą
Kolebko moja... Dzisiaj — w miejskich murach —
Szlę sokolemi myśl ku tobie loty,
Co wraca do mnie na łabędzich piórach
Z tęsknoty pieśnią...

Skały wysokie! Na wasz łańcuch siny
Piętrzący słońcu zaporę niezmierną,
Pierwszy raz oczy spojrzały dzieciny,
Jedyne słodkie tam patrzały lata:
Więc pamięć moja zostanie wam wierną,
Myśl wróci do was z najdalszych stron świata
Skały me, skały!...

Lasy szumiące! W waszem smętnem pieniu
Ileż zaklętych słyszałem powieści...
Tajemniczością rozmarzony cieniu

Wieko z przeszłości odrywałem trumny...
Kiedyż mi, kiedy znowu zaszeleści
W koronach waszych halny wicher szumny
Lasy me, lasy!...

Rzeki srebrzyste! Jako wasze zdroje
Z niewyczerpanych nigdy krynic płyną:
Tak wiecznem źródłem żądz jest serce moje...
Lecz cóż i po was i po nich zostanie?
Ja wznoszę ogrom, by stał się ruiną,
Wy gnacie, aby zginąć w oceanie
Rzeki me, rzeki!...

Orle podniebny! Jak ciebie wokoło
Ciemnych obłoków otaczają fale:
Tak mnie sny smutne wieńczą młode czoło...
I drogę mamy podobną, choć różną,
Bo ty ku słońcu wciąż dążysz wytrwale,
Ja, człowiek, szczęścia szukam... obaj próżno
A jednak wiecznie.

Któż młody nie drzy przed tem, co dziś czeka?
Chyba ten, który zatarł w swojej duszy
Znamię szlachetnej godności człowieka
I skroń ustroił nikczemności godły;
Temu zwycięstwo!... Tak na roli głuszy
Niewypleniony chwast brzydki i podły
Kwiaty szlachetne...

O! gdybym wrócić mógł, gdzie Tatr granity
W koronie srebrnych lodów stoją lśniące!...
Świat ludzki z ułud przedemną odkryty
Zda mi się kołem nieszczęść i podłości...
Tam, gdzie nikomu nie przyświeca słońce,
W górskiem pustkowiu, choć bezduszne, gości
Tam czyste piękno...

Za niem to — często dotknięty boleśnie —
Szlę myśl ku ziemi tatrzańskiej dalekiej;
Niech chociaż chwilę zapomni tam we śnie
O życiu naszem tak smutnem i wstrętnem,
Które naznaczą przyszłe, lepsze wieki
Okropnem, nigdy niezatartem piętnem
Życia Kainów!...

Śmierć Janosika.

Fragment.

Szumnie radzą liptowscy panowie
Na stołecznym domu w Mikułaszu,
Jakoby im dostać Janosika,
Janosika, dobrego zbójnika,
Który panów łupi, biednym daje,
Woły nędznym kupuje wieśniakom,
Mierzy sukno od buka do buka,
A nikomu żywota nie bierze.

Jedni z nich chcą uzbroić ziemiaństwo,
Ku straszliwej zbójnikowi hańbie,
Drudzy króla poprosić o wojsko,
Żeby całe osaczyć podgórze. *)

Ale żupan świętojański mówi:
»Wszystko to już nieraz probowano,
Szli ziemianie, wojsko i hajducy,

---

*) Te dwanaście wierszy są dosłownym przekładem z Záborského, poety słowackiego.

Probowano, ale wżdy nadarmo.
Pierwej chwycić niedźwiedzia za kudły,
Z podkrzywańskich wywlec ciemnych lasów;
Pierwej w biegu Wag zatrzymać wartki,
Albo wicher stłumić południowy:
Nim w okowy spętać Janosika,
Nim powstrzymać jego orle chody,
Nim przytłumić jego moc zuchwałą.
Siedm lat ssał on niedarmo pierś matki:
Chwyci buka do potężnych ramion,
Jak wyrywa dziewczyna konopie,
Tak on wyrwie z korzeniami buka.
Chwyci kamień do potężnej dłoni,
Kamień duży, jako siedm głów ludzkich,
Kiedy sznurem obwiąże go silnie,
Rzuci w okno strzelistego zamku,
Choćby okno było jak wierch smreka,
Wpadnie kamień, on wejdzie po sznurze.
Koła młyńskie on hamuje ręką,
Jak dziecinny wiatraczek na wodzie.
Kiedy skoczy, dwie jodły uchwyci,
Dwie ku ziemi zegnie jodeł głowy.
Kozy w biegu chwyta w ostrych turniach,
Kiedy krzyknie, wodę w stawach mąci,
A ciupagą gdy uderzy w skałę,
Na dwie piędzi głęboko ją wcina.
Przytem stoi w czarnej zmowie ze złem.

Ni się szabla, ni kula go imie,
Szabla po nim spełznie bez obrazy,
Jako pióro jastrzębia po lodzie;
Kula odeń odbije się lekko,
Jako szyszka limbowa od skały.
Jego topór niewiedziony ręką,
Rąbie, kogo rąbać mu rozkaże,
A gdy zechce czarownik, to w oczach,
Jak mgła górska stopi się i zniknie.
Nie pojmać go żadną siłą ludzką.
Myślę tedy, że najlepiej będzie
Tysiąc jasnych dukatów przeznaczyć,
Kto go zdradą pozbawi żywota,
Albo zdradą w nasze wyda ręce«.
Tak w stołecznym domu w Mikułaszu
Świętojański żupan mówił: a to
Jednogłośnie uchwalą panowie.
Wnet rozpuszczą wieść szerokim światem,
Że kto życia zbawi Janosika,
Albo zdradą wyda go w ich ręce,
Tysiąc jasnych otrzyma dukatów.

* * *

Szumi cicho w Koprowej dolinie
Ciemna woda pośród czarnych smreków.
Miesiąc schodzi na krzywańskie turnie

Sieje srebro po limbowych kiściach,
Włóczy cienie po urwiskach skalnych.
W lesie huczy watra na polance.
Smrek zrąbany iskrzy się i pryska,
Bucha ogniem pod koronę lasu,
Iskry sypie na ciemne powietrze,
Dymem w Krzyżne liptowskie się niesie.
Tam dwunastu leży koło watry,
I trzynasty tam leży Janosik.
Mają oni wszyscy strój bogaty,
Strój bogaty, mundur przeparadny.
Mają czapki na głowach baranie,
Czarne czapki wązkie i wysokie,
Okręcone sznurkami perełek,
Jasnych szkiełek i kostek bielutkich.
Mają złotem naszyte kabaty,
Nabijane srebrem mają pasy,
W ciżmach spodnie białe cyfrowane,
Szafirowym, szerokim lampasem,
A Janosik ma spodnie czerwone,
Cyfrowane złotolitym sznurkiem.
Mają mundur, mają strój bogaty:
Strzelby długie oparli o drzewo,
Powcinali w długi tram ciupagi,
Pistolety im sterczą z za pasów
I kończyste noże w trzonkach z drewna
O trzech kulkach miedzianych na końcu.

Pieką oni całego barana,
Flaszki z wódką z torb zwydobywali,
Przepijają do siebie nawzajem
W ciemnym lesie w Koprowej dolinie.
Gra na kobzie Gajdoś, o smrek wsparty,
A Janosik słucha, na mchu leżąc,
Słucha, patrzy na Krzywań wysoki,
Kędyś w zmroku ginący przypastnym,
Krzywań głuchy, chmurny i posępny.
Leżąc na mchu, na leśnej polance,
Wsparł na dłoni ogorzałe lico,
Patrzy w Krzywań, duma... O czem dumasz
Janosiku, śnie przekraśnych dziewcząt?
Czyli dumasz o białym kastelu,
Kędy złota leżą ciężkie wory?
Czyli dumasz o lewockiej bramie,
Gdzieś wyrąbał regiment żołnierzy?
Czyś w Krzywaniu zakochał się ciemnym,
Co zaczepia gwiazdy na swych barkach,
Bierze światło miesiąca na stopy
I na niebie senną głowę spiera?
Czyś zakochał się w tym szumie leśnym...

Wybiegła dusza.

Wybiegła dusza znowu tak, jak wprzód,
Snuć się po lasach, nurzać w szumie wód,
Na skał się wdzierać osępiały szczyt,
Słuchać na stawach gry lodowych płyt,
Pośród spróchniałych jaworowych kłód
Kłaść się, i w otchłań wchodzić ciemnych grót,
Błąkać się w halach, przełęczach i graniach,
Zawisać w echu, w juhaskich hukaniach,
I uleciawszy na wichrowych skrzydłach
W chmur się kołysać falujących sidłach.

Wybiegła dusza... Tak z zwierzyńca wrót
Jeleń puszczony, gdy go zawiał chłód
Rozległej puszczy, z niekoszonych łąk
Woń doleciała, nozdrza rozdął ciąg
Ostrego wiatru; gdy już żaden próg
Orlich mu więcej nie tamował nóg:
Wybiegł — i runął... Bujne jego siły
Tam się, w zwierzyńcu, starły i strawiły...
Wybiegła dusza...

W jesieni.

O cicha, mglista, o smutna jesieni!
Już w duszę czar twój dziwny, senny spływa,
Przychodzą chmary zapomnianych cieni,
Tęsknota wiedzie je smutna i tkliwa,
Ileż miłości, oh, ileż kochania
Umarła przeszłość z naszych serc pochłania,
Z naszych serc biednych, z naszych serc bezdeni...

Zamykam oczy... Blade ciche cienie
Suną się w liści posępnym szeleście —
Jak obłok światło; niesie je wspomnienie...
O dni umarłe! o dni! gdzież jesteście...
Co pozostało po was?... Ah! daleko,
Daleko kędyś toczycie się rzeką
Szarą i mętną w głąb puszcz i w milczenie...

Nie wierzę w nic...

Nie wierzę w nic, nie pragnę niczego na świecie,
Wstręt mam do wszystkich czynów, drwię z wszel-
[kich zapałów:
Posągi moich marzeń strącam z piedestałów
I zdruzgotane rzucam w niepamięci śmiecie.

A wprzód je depcę z żalu tak dzikiem szaleństwem,
Jak rzeźbiarz, co chciał zakląć w marmur Afrodytę,
Widząc trud swój daremnym, marmury rozbite
Depce, plącząc krzyk bólu z śmiechem i przekleń-
[stwem.

I jedna mi już tylko wiara pozostała:
Że konieczność jest wszystkiem, wola ludzka ni-
[czem —
I jedno mi już tylko zostało pragnienie

Nirwany, w której istność pogrąża się cała
W bezwładności, w omdleniu sennem, tajemniczem,
I nieczując przechodzi zwolna w nieistnienie.

Fragment z dramatu.

PRZEOR

Módlcie się bracia. Oto działa huczą,
Jako wulkany, miecąc ognia lawę
I krwi potoki mur klasztorny płuczą,
A nawet wody pod murem są krwawe.
Ale na niebie jest Bóg, Pan nad Pany,
Co widnokręgu zakreślił granice,
Gwiazdom bieg wskazał, spętał oceany
I w dłoni dzierży wichr i nawałnicę.
Jemu ufajmy; jeśli on jest z nami,
Niczem są wrogie przeciw nam oręże,
Bo Bóg jest wielki tam, nad błękitami,
A kogo broni On, ten nie polęże.

ZAKONNIK I.

Kule nad głową, jako meteory
Płomienne lecą z wyciem i szelestem.

ZAKONNIK II.

Lud wszędy widzi strachy i upiory.

PRZEOR

Ufajcie Bogu. On powiedział: Jestem.

ZAKONNIK I.

Ciemny sklep nieba cały się czerwieni
Od łuny wiosek, co się we krwi pławią.

ZAKONNIK II.

Gwiazdy zagasły od blasku płomieni.

PRZEOR

A Pana ręce z toni nas wybawią.

ZAKONNIK I.

Rycerzom naszym opadają miecze,
Oddechu braknie pod ciężkim pancerzem.

ZAKONNIK II.

Snać już nikt śmierci rychłej nie ucieczе.

PRZEOR

A wiernym Jemu Bóg będzie puklerzem.

ZAKONNIK I.

Każda jutrzenka trwoży i przeraża,
Jak wieść zarazy, która się przybliża.

ZAKONNIK I.

I coraz bliżej nam wszystkim cmentarza.

PRZEOR

A ja moc wrogów zwalczę w imię krzyża...

Czardasz.

Hej, czardasza ty mi graj
Cygańska muzyko!
Huczcie basy, gęślo łkaj,
A szumnie, a dziko...
Ile smutku w duszy mej,
Ile klątwy, żalu:
Tylo w gęśle twoje wlej
Hej, czardasza graj mi, hej,
 Cyganie-góralu!...
Ile żalu w piersi mej
Tłumionego dumnie:
Tyle w gęśle twoje wlej,
Hej, czardasza graj mi, hej,
A dziko, a szumnie...
Hej, w nas obu skalna krew,
Dusze w obu harde —
Wygraj-że mój cały gniew,
Cały gniew i wzgardę...
 Słuchaj, słuchaj — szumi bór

Daleko, daleko — —
Zagraj-że mi, jak on gra,
Kiedy wicher po nim gna,
Niech ze smyczka leci wiór,
Niech łzy ze strun cieką...
Hej! Niech mój nie pada trup
Na doliny nizko — —
Nie dla niego w ziemi grób,
Ni śmierci igrzysko.
Na granitach leżeć mu
Wśród ciszy nadskalnej,
Niech kołysze go do snu
Łkający wiatr halny.
Niech mu szumią smutnych limb
Konary zielone,
Chmury mu uwiją nimb,
A tęcze koronę...
Wielkie orły lecą tam
I krążą i kraczą,
Z granitowych płynąc bram
Wielkie wody płaczą...
Smutno grasz mi — smyk ci drga
Od jęku, od żalu,
I w oczach ci błyska łza
Cyganie-góralu!
Hej! Zmień nutę! Słyszysz ty?
Niech ze smyczka lecą skry,

Cały ogień mojej krwi
Wlej w struny cyganie!
Wygraj-że mi szepty te,
Gdy się dusza w duszę rwie,
Kiedy z wargi tryska krew,
Drży dziewczyna tak, jak liść
I cała — kochanie...
Hej, szalony zawiedź śpiew!
Nim nam z tego świata iść,
Niech przepali rozkosz nas,
Mózg i serce spali wraz!
Hej dziewczyno! Do mnie tu,
Póki stanie w piersi tchu,
Ssij życie, pij krew!...
Hej, czardasza ty mi graj,
Cygańska muzyko!
A ty dziewczę usta daj,
Przepijemy choćby kraj, *)
Wróżka nam powróży z kart,
Czy nas prędko porwie czart,
A nim porwie, graj nam, graj,
A szumnie, a dziko!...

*) Kraj ziemi— duży obszar ziemi. (Prowincyonalizm).

Gdybym mógł sobie wybrać...

Gdybym mógł sobie wybrać śmierć podług mej woli,
Chciałbym zwolna utracać świadomość istnienia,
Przestawać czuć, co rozkosz przynosi, lub boli,
I pogrążać się w cichą otchłań zapomnienia.

Fałsz, zawiść...

Fałsz, zawiść, płaskość, mierność, nikczemność,
Oto rafy, o które łódź moja potrąca [głupota:
Płynąc przez życia mętne i cuchnące błota
Pod niebem zachmurzonem, bez gwiazd i bez słońca.
Wiem, że błot nie przepłynę— —odrzucam precz
[wiosła,
I przymknąwszy powieki na dnie łodzi leżę,
Niedbając, kędyby mnie mętna woda niosła,
Niedbając, gdzie i jakie czeka mnie wybrzeże?
Tak płynę ja, zrodzony do czystego morza,
Do purpurowych wschodów, zachodów złoconych,
Do gwiazd kroci, orkanu, co gna przez przestworza,
Do cisz wielkich i sennych i do wysp zielonych.
Tak płynę ja, zrodzony, by słoneczne fale
Pruć silnym ruchem ręki leżącej na sterze,
By wiry i wietrzyce roztrącać zuchwale — —
Tak płynę i pół martwo na dnie łodzi leżę.

Pejzaż.

Ponad krawędzią Granatów posępnych
Nagle zajaśniał blask słaby i mały,
Jakby się zatlił mech na wierzchu skały
Od ogni której gwiazdy z nieba zstępnych.

I potem wyszła zwolna z poza grani
Gwiazda i biegła między gwiazdy złote
Rozjaśniać nieba cichego ciemnotę,
Wyżej i wyżej wznosząc się w otchłani.

A kiedy ona szła świecąc, ze ściany
Czarnej granatów błysło światło nowe,
Mdłe i omglone, błękitno-różowe,
I zwolna w półkrąg wzrastało świetlany.

Ów półkrąg coraz wyżej się podnosił,
Rozszerzał, mieniąc się coraz tęczowiej,
I poblask rzucał szklisty granitowi,
Jakby go deszczem łez perłowych rosił.

I w tęczy drżącej, niepewnej, zamglonej,
Okrąg księżyca wypłynął powoli
I zawisł w niebie w światła aureoli
I szedł za gwiazdą między gwiazd miliony.

I nagle wówczas od brzegów w oddali
Na czarnej wody przepaściach bez końca
Zamigotała poświata miesiąca,
Jak piana wrzących gdzieś w bezdni metali.

O wichrze, wichrze!...

O wichrze, wichrze! Wyrwij moją duszę
Z ciała i nieś ją w powietrzne głębiny!
Jak ptak tatrzański zwleczony w niziny,
Ja na nizinach szarpię się i duszę.

Kędy chcesz, nieś ją szalonym podmuchem,
Rzuć gdzieś w pustkowiu dalekiem, dalekiem,
Nie chcę pamiętać, że jestem człowiekiem
A nie swobodnym, wolnym, skrzydlnym duchem!

Są takie chwile...

Są takie chwile, gdy się nie śmie badać
Swej własnej duszy, bo się człowiek lęknie,
Że ani jednej nie znajdzie w niej struny,
Co potrącona, jeszcze czysto dźwięknie.

Lecz trzeba tylko jednego spojrzenia
Pełnemi wielkiej miłości oczyma,
By w akord związać wszystkie struny duszy...
Potrzeba jednych oczu — — lecz ich niema!

Ludzie miotają się, dręczą, cierpią...

Ludzie miotają się, dręczą i cierpią,
Złorzeczą ziemi, przeklinają nieba,
Aż im się siły nareszcie wyczerpią
I do smutnego poznania przychodzą,
Że nie do zwycięstw nad losem się rodzą
I że losowi poddać się potrzeba.

Jeśli poczujesz, że inną twe skronie...

Jeśli poczujesz, że inną twe skronie
Myśl w sobie kryją, jak skroń tłumu kryje;
Jeśli poczujesz, że serce twe bije
Nie tak, jak serca biją w tłumów łonie:
Żyj sam ze sobą, zdaleka od ludzi,
Bo myśli twoich ogół nie zrozumie,
Bo twe uczucie szyderstwo w nim wzbudzi — —
Z tłumu ten musi być, kto chce żyć w tłumie.

Rozmowa.

Z kim ja rozmawiam w gwiazdy zapatrzony?...
Z siłą, co kiedyś te gwiazdy postrąca,
Co przejdzie wszechświat, jak burza niszcząca,
Miecąc naokół strach, boleść i skony.

Ja siłę ową rozlaną w przestworze
Czuję bezwiednie — — krąży niewidomie,
Ukryta w bytu każdego atomie,
Spokojna, cicha, jak przed burzą morze.

Do siły owej myśli moje dążą:
U stóp jej, w wielkiej przestrzennej ciemnicy,
Jak tygrysięta u stóp tygrysicy,
Igrają dziko i razem z nią krążą.

W nocy.

Spojrzałem w nieba ciemności bezkresne,
I wzrok mój ugrząźł w tej kopule wklęsłej,
I dziwnej trwogi dreszcze mną zatrzęsły,
Dreszcze mrożące krew w żyłach, bolesne.

W końcach mych palców lęk się ozwał, oczy
Wbiłem w dół, nieśmiąc podnieść ich ku górze:
Coś przeciwnego całej mej naturze
Czuję tam, w nieba ciemnego roztoczy.

Tam nieskończoność, wieczność, nicość——brzmienia,
Które są dla mnie tajemniczym runem,
A każde w mózg mój uderza piorunem,
I mózg druzgota i w zgliszcze zamienia.

Gdy ci wspomnienie smutek tylko mnoży...

Gdy ci wspomnienie smutek tylko mnoży,
Jeśliś zawodów gorzkich doznał tyle,
Że na nadziei swych stojąc mogile,
Jutrzejszej czekasz obojętny zorzy,
Nic nie żądając ani drżąc przed niczem,
Cokolwiek w łonie kryje tajemniczem;

Kiedy nikogo nie masz w krańcach świata,
Do kogo myśl-by leciała tęskniąca,
Jako ku ziemi leci światło słońca
I w sieć ją jasnych promieni oplata
I pieści kwiaty i kłosy i drzewa
I wszystko złoci i wszystko ogrzewa:

Co cię tu trzyma?... Patrz — zawsze gotowe
Dłonie, co w chwili ujmą nas tej samej,

Gdy tylko nasze dłonie im podamy,
I ztąd nas wezmą... Czemu drżysz i głowę
Odwracasz z trwogą od nich? Co cię trzyma
Tu, gdzie dla ciebie nic drogiego niema?...

Co warte słońce...

Co warte słońce, jeśli poranny brzask
Nie budzi cię wesoło?
Co warte gwiazdy, jeśli ich miły blask
Zasępia twoje czoło?
Co warte kwiaty, gdy woń i kolor ich
Ciebie nie rozwesela?
Co warci ludzie, jeżeli pośród nich
Ty nie masz przyjaciela?
Co warta pustka, jeśli od wstrętnych mar
Tłumu cię nie odłączy?
Co warta miłość, jeśli z jej słodkich czar
Tobie się gorycz sączy?
Co wart dzień, który ni razu twarzy ci
Uśmiechem nie umili?
Co warte życie, jeśli jest ciągiem dni
Bez jedne jasnej chwili?...

Zasnąć już!...

Zasnąć już!... Noc ta pochmurna, bezgwiezdna,
Posępnych widzeń krynicą jest bez dna —
Zasnąć już, skłonić na nirwany łono
Głowę płonącą, bez miary zmęczoną...

Przepłynął przez nią strumień myśli długi,
A jedna była smutniejszą od drugiej,
A wszystkie były smutne bezlitośnie — —
Chcę spać, choć wiem, że ciągu myśli dośnię...

Ha!... Tłum okropny mar ciśnie się białych,
W szatach zwalanych ziemią i zbutwiałych,
Tańczą wokoło z szalonym pośpiechem,
Szyderczym w twarz mi wybuchając śmiechem.

Widok ich trupich czaszek mię przeraża,
Dusi mię zgniła, wstrętna woń cmentarza,
A ten śmiech strasznej ironii się wwierca,
Jak tępa śruba, w głąb mojego serca.

Tłoczą się ku mnie ohydną gromadą,
Trupie swe ręce na czoło mi kładą,
I spruchniałemi szczękami klekocą
Najokropniejsze z wszystkich pytań: Po co?!...

Do snu.

Niemam dosyć odwagi, aby przed złem życia
W śmierci szukać zbawienia
I wiecznego ukrycia,
Ani wiem, czy śmierć kresem ludzkiego istnienia
Jest wieczystym?... Ani wiem czy zło w tej zazie-
[mnej,
Bezwiednie przeczuwanej przestrzeni tajemnej,
Nie władnie? Lecz strudzony walką bezowocną
Z siłą losu przemocną,
Ciebie wołam śnie cichy... O! gdybyś przez wieki
Nie schodził z mej powieki...
Śnie! Ileż razy westchnę do ciebie, gdy jasna
Okrutna prawda mózg mój i serce rozdziera...
Jeszcze godzina jedna, dwie — — a potem zasnę
I cichość mnie śmiertelna
Kołysze na swem łonie... Duch we mnie umiera,
I jestem, jak trup żywy, bez czucia, bez myśli,
Więc złemu niedostępny... Ty mi słodycz zeszlej

Śnie — — chcę choć wizyi szczęścia. O! gdybyś przez
Nie schodził z mej powieki... [wieki
A choćbym dziś zasnąwszy, zamiast spodziewanej
Ulgi, miał śpiący stać się łupem widm cierpienia;
Lub choćby się jątrzyły w nocy owe rany,
Zdobyte w walce dziennej,
Których ja zapomnienia
Szukam w martwości sennej:
Jeszcze do cię zawołam, śnie, obyś przez wieki
Nie schodził z mej powieki...

Jak dziwnie smutne, posępne, złowieszcze...

Jak dziwnie smutne, posępne, złowieszcze
Jest to zegaru miarowe stąpanie —
Słucham i zimne przejmują mię dreszcze...
Coraz mniej życia, niebytu otchłanie
Coraz mi bliższe, śmierci przeraźliwe,
Groźne widziadło ciśnie mi się w oczy — —
Straszno pomyśleć, że ciało dziś żywe,
Niedługo w trumnie robactwo roztoczy.
Okropna wizya!... Naokoło wszyscy
Sercu mojemu, duszy mojej blizcy,
W mogiłach swoich tak mi jasno widni,
Leżą tam tacy wstrętni i ohydni!...
Życie podąża do przeklętej mety —
Jak gardzę życiem! W twarz śmierci złowrogą
Patrząc, szkieletom zazdroszczę — — szkielety
Przynajmniej śnić już o śmierci nie mogą.

Schnąca limba.

U stóp mych dzika przepaść. W ciemnem niebie blady
Świeci księżyc, podobny wodnej białej lilji,
Co kielich swój nad ciemne głębiny wychyli.
Cicho — grzmot słychać tylko huczącej kaskady.

Nad nurtem jej ze skalnej wyrosła posady
Limba: zżółkłe konary smutno na dół chyli,
Czując, że dłużej walczyć napróżno się sili
I runie — wicher szumi jej hymny zagłady.

Nie ona jedna toczy tę walkę bolesną:
Są ludzie i narody całe na przedwczesną
Śmierć skazane przez losów okrutne przekleństwo — —

I czyż warto jest walczyć nie wierząc w zwycięstwo?
I czyż warci są życia, którym brak doń siły?
I cóż z tych łez wylanych na słabych mogiły?...

Wszystko umiera z smutkiem i żałobą...

Wszystko umiera z smutkiem i żałobą,
Choć tylko zmianą kształtu jest skonanie,
Bo chociaż wszystko zmarłe zmartwychwstanie,
Nie zmartwychwstanie nic już nigdy sobą.

Cóż, że w tysiącu kształtów moje ciało,
Z tysiąca zmarłych kształtów w jedno zlane,
Dawne, jak ziemia dawna, będzie trwało
Do końca ziemi?... Ja nie zmartwychwstanę.

Łamiąca myśl jest, że ludzie tak muszą
Ginąć, jak ginie zwierzę i roślina;
Że to, co we mnie nazywa się duszą,
To jest czująca i myśląca glina...

W noc jesienną.

Na sine góry, na ciemne bory,
Skoszone, szare łany,
Pada z księżyca światła mgławica,
Jak gdyby szron świetlany.

I ziemia cała w blask się ubrała
I drzemie lśniąc srebrzyście,
A w ciszy sennej wicher jesienny
Szumi kołysząc liście.

Jak żóraw bierze kroplę na pierze,
Gdy brodzi po strumieniach,
I w głąb wszechświata z kroplą wylata
I gubi ją w przestrzeniach:

Ty orlo-pióry wichrze ponury,
Mącący nocną głuszę,
Nad granit siny w niebios głębiny
Weź z sobą moją duszę.

Po widnokręgu z kręgu do kręgu
Przestrzennych fal niech płynie,
Aż gdzieś w nicości, w nieskończoności,
Roztopi się i zginie...

Gwiazdy są dla mnie jako modre kwiatki...

Gwiazdy są dla mnie jako modre kwiatki
Niezapominek posianych na grobie
Straconej wiary... Tak dzieci w żałobie
W kwiaty pamięci stroją grób swe matki.

Pod śniegu srebrnym puchem...

Pod śniegu srebrnym puchem
Tatr łańcuch teraz śpi,
Słońce na srebrne śniegi
Złociste rzuca skry.

Śmiertelnym swym oddechem
Rośliny zwarzył mróz
I martwym się wydaje
Granitów nagich gruz.

Wicher po lodach gwiżdże
W głuchy, ponury ton,
I nad gór martwą pustką
Brzmi, jak pogrzebny dzwon.

Lecz zorze z wiosną lśniące
Z zimowych zbudzą snów
Gór ziemię: pełnem życiem
Zakwitnie ona znów...

W niejednej ludzkiej duszy
Gdy pozna, czem jest świat,
Zwątpienia mróz śmiertelny
Niszczy nadziei kwiat;

Lecz próżno potem czekać
Wiosennych złotych zórz:
Kwiat taki, raz uwiędły,
Nie kwitnie nigdy już...

Artyści.

Wpatrzeni w nasz ideał święty
Dopóki serce tętni w nas,
Płyniemy doń przez fal odmęty,
Gdzie często zgubny sterczy głaz.
Wkoło nas tłumy pełne szału
Walczą wśród konwulsyjnych drgnień:
My dążąc wciąż do ideału
Niepomni siebie patrzym weń.
Mijają lata: już ramiona
Nie mogą wiosłem fali pruć;
Na pierś się chyli skroń zmęczona,
Opuścić trzeba wierną łódź.
Wielbiono nas, gdyśmy zuchwale
Na głąb się nie wahali iść,
I z brzegów na spienione fale
Laurowy nam rzucano liść.
Mijają lata, skroń się chyli,
Zbliża się kresu smutny dzień:
Ci co dopiero nas wieńczyli,
Zepchną nas w niepamięci cień.

Westalka do Apollina.

Ukochałam w tobie to, co boże,
Natchnień twoich idealny zdrój;
Ukochałam myśli twoich zorzę
I promienny, potężny śpiew twój.

Ukochałam tęczę twego chodu,
Kroków twoich siedmiobarwny łuk;
Ukochałam cię, żeś z bogów rodu,
Żeś słoneczny, żeś wielki, żeś bóg!...

I czekałam w dreszczu upragnienia,
W czystym dreszczu idealnych żądz,
Czy się z nieba twój wóz wypromienia,
Twoje przyjście wymodlone śniąc.

I przyszedłeś, gdym w cichą noc spała,
W mój dziewiczy, święty wszedłeś dom,
By nic we mnie nie szukać prócz ciała,
By kres boskim mym położyć snom.

I upadłeś na pierś moją białą
Nie bóg słońca — niewolnik swych żądz,
I splamiłeś moje czyste ciało
I odarłeś blask z mych złotych słońc...

Sen o tobie z moją krwią upłynął,
Lecz czyś przeczuł, że padając tam,
Tyś na niebie mi na zawsze zginął,
W błoto runął z olimpijskich bram?...

Że zagasła twojej chwały zorza,
Że stóp twoich łuk tęczowy prysł,
Że rozwiała się twoja moc boża,
Gdy cię owładł nędzny ludzki zmysł?...

Dziś, nie wielbię cię, nie czczę, nie wierzę,
Rzucam święty twej kapłanki próg,
Bom poznała w tobie ludzkie zwierzę,
A myślałam żeś wielki, żeś bóg!...

Wiersze liryczne.

I.

Nie mów, o nie mów o szczęściu minionem!
Ono ci jęknie pogrzebowym dzwonem,
Ono ci duszę zakrwawi — — ah! ono
Głowę ci na pierś tak rozpacznie schyli — —
Po co tę chwilę wspominać minioną?
Jad jest i piołun w śnie o takiej chwili.

Takie wspomnienie przed twej duszy okiem
Otworzy bezdeń zasępioną mrokiem,
Otworzy wielkie, ponure pustkowie,
Świecące smutno trupem drzew uschniętych;
Cmentarne pole, kędy aniołowie
Odeszli zmarłych, na wieki przeklętych.

Nad owym szczęścia zmarłego cmentarzem,
Takim się nagle uczujesz nędzarzem,

Tak ci zabraknie odwagi do życia,
Takim się prochem zobaczysz w bezkresie — —
Ah! nigdy, nigdy z pamiątek ukrycia
Nie wołaj myśli tej — — ona śmierć niesie.

II.

Przyszło nieszczęście jasne, hoże,
Przyszło, jak strumień i jak zorze,
Przyniosło uśmiech kwiatów wonny,
Przyniosło czar z pod stóp Madonny.

Przyszło i serce wzięło w dłonie,
A ono całe we krwi tonie
I własnym swoim bólem gardzi
I kocha coraz bardziej, bardziej...

III.

Myślałeś — — dziwne złudzenia i wieczne — —
Myślałeś — — kto wie? może miałeś prawo...
Lecz za tę złudę, za te sny słoneczne,
Jakże dziś płacisz krwawo, jakże krwawo!

Na zimny marmur chciałbyś oprzeć głowę
I gdzieś zapatrzeć się w tumu sufity,
Gdzie chodzą głuche cisze marmurowe
I wisi Chrystus na krzyżu rozbity.

Niema, ah, niema miejsca na tej ziemi,
Gdziebyś chciał skryć się przed światem i sobą,
Tylko ten kościół z płytami zimnemi,
Pusty, samotny, pod mroku żałobą.

Jakaś modlitwa smutna, jak sierocy
Płacz, jakiś głuchy jęk żalu i trwogi,
Jakiś krzyk strasznej, śmiertelnej niemocy,
Z twej piersi rwie się pod Chrystusa nogi.

On jest w tym krzyżu, czyli Go w nim niema,
Kłamią, czy prawdę ci głoszą szyderce:
Boleść nie może być cicha i niema,
Mów doń!... Inaczej rozpęknie ci serce.

Ballada o pannie młodej.

Już ucichł dźwięk, już ustał tan
Już goście wyszli z sali;
Z oblubienicą młody pan
Samotni pozostali —
Już ją w ramiona drżącą wziął,
Już ślubny wieniec z głowy zdjął,
A krew mu w skroniach tętni.

Całuje usta jej i skroń,
Rozplata zwój warkoczy,
A ona, zapłoniona, doń
Tuli się, kryjąc oczy;
Ustami szuka jego warg,
Rękoma mu owija kark,
Do piersi się przyciska.

Pragnienia ich ogarnia szał,
Objęli się nawzajem
W zachwycie dusz i w dreszczu ciał

Ziemię uczynić rajem — —
Wtem nagły ją owionął chłód,
Jakby na sercu kto jej lód
Położył martwej ręki.

Krzyknęła i zerwała się,
Twarz zbladła jej jak chusta — —
Patrzy — — przy ścmionych świateł mgle:
Alkowa była pusta...
»Co ci jest?« — pyta trwożnie on.
»Ah nic, uderzył z wieży dzwon,
Przelękłam się, jak dziecko«.

I znów ustami jego warg
Szuka rozpłomieniona,
Rękoma mu owija kark,
Przyciska go do łona;
Już ich ogarnia pragnień szał,
W zachwycie dusz i dreszczu ciał — —
Wtem lód na sercu czuje.

I znów się zrywa, krzycząc: Ach!
Twarz blednie jej, jak chusta.
Mąż pyta; »Jaki zdjął cię strach?
Alkowa cała pusta...
Czy może zbyt cię zmęczył tan?«
Tak pyta trwożnie młody pan
Schylając ją ku sobie.

»Ah nic, to nic! Ktoś stuknął gdzieś,
Tam, na ulicy może.
W ramiona mnie, jedyny, weź —
Jak dziecko tak się trwożę«.
Ustami szuka jego warg,
Rękoma mu owija kark,
Do łona go przyciska.

Pragnienia ich ogarnia szał,
Trwogi z pamięci zbyli;
W zachwycie dusz i dreszczu ciał
Raj czynią z życia chwili — —
Wtem po raz trzeci nagły chłód
Owiał ją: znów uczuła lód
Na sercu martwej ręki.

Z bolesnym jękiem zrywa się
Oblubienica młoda
I krzyczy: »Opuść, opuść mnie!
Nie tobie ma uroda!
I nie mnie z tobą słodki ślub,
Bo między nami stoi grób,
Grób nas na wieki dzieli!...«

Ballada o Renie.

Co rano, gdy z powiek jej zgarnął się sen,
Dziewczyna z tej wioski zbiegała nad Ren,
Gdzie słońcem, co padło w wód szklannych zwierciadło
Nurt wolny zielenił się lśniąc.

I ciszej i ciszej Ren szumiał i bieg
Wstrzymywał fal swoich, gdy weszła na brzeg,
I lekka i biała w bieliźnie świetlała
Objęta w blask złoty dwu słońc.

I cichy i słodki wychodził szept z fal,
Gdy dziewczę, z bark biały zrzuciwszy swój szal,
Powoli w wód głębi swe stopy zagłębi
Na wodny zsuwając się głaz.

Już włosów błyszczący, złocisty jej len
Na wodzie się pławi, już pieści go Ren,
Już bystra i ślizga wód piana wybryzga
Na cuda dziewiczych jej kras.

W żar ognia zamienić chce, zda się, fal lód...
O Renie! Wieczysty przenika cię chłód —
Choć miotasz się w szale, krew mrożą twe fale — —
Płyń dalej, o Renie! Płyń, płyń!...

A ona z miłością się patrzy w wód zdrój
I mówi: O Renie! O Renie ty mój!
O Renie zielony, przez nasze zagony,
Przez nasze winnice się wiń...

Jak piorun, podjechał raz z Drachenwald pan
I porwał dziewczynę, przeleciał przez łan,
Ze siodła zeskoczy i w zamek uroczy
Na rękach unosi swój łup.

Ocucił pieszczotą, w ramiona ją wziął
I długi, namiętny splot razem ich spiął.
»Czy kochasz mię, złota?« »O kocham« — szczebiota
Włosami sięgając mu stóp.

»Czy kochasz mię?« »Kocham! Na zawsze jam twa!...
Lecz słyszysz? Szum jakiś...« »O noc ta niech trwa
Przez życie, przez wieki!...« »Czy szum to daleki
Tych lasów, co słonią twe wsie?«

»Ah całuj!...« »Lecz słuchaj! Czy deszczu to plusk,
Co z dachu złocistych zesuwa się łusk?...«

Nie — — ani to drzewa, ni szumi ulewa...
Czy wicher w krużgankach gdzie dmie?«

»Puść, spojrzę...« »Dlaczego tak wstrząsnął cię dreszcz?
Co widzisz?« »Rzecz dziwną. Ni las to, ni deszcz,
Na zamku ogrody rozlały się wody...
Czy tama zerwała się gdzie?!«

»Mój luby, mój luby! Ja lękam się wód!
Czy dosyć wysoki, dość mocny twój gród?«
»Kochanko! Wpierw z morza nie błyśnie nam zorza,
Nim w Drachenwald wedrze się prąd!«.

»Mój luby, mój luby! Patrz! Spiętrza się toń!
Jak szumi złowrogo...« »Na pierś mi się skłoń,
Do nowej pieszczoty daj usta...« »Mój złoty!
Mój luby! Uchodźmy gdzie ztąd!...«

»Na Boga! Już w okna!...« »Ah! Ocal ty mnie!
Uchodźmy! Uchodźmy!« »O luba! Lecz gdzie?«
»Na wieżę!« »Lecz może gdy drzwi te otworzę,
Już odmęt ogarnie nas ten!...

»Ah! ocal!...« »Na barki me wyskocz! Ha! Z nóg
Prąd zwala mię... Chwyć się świecznika!... Czyż Bóg
Nie widzi?!... Ah! Tonę!... Te wody szalone
Czy z piekła?!... O Chryste!...« »To Ren!...«

Orzeł.

Gdzie tęcza wiesza na obłokach wstęgi,
Gdzie piorun kreśli krwawy w chmurach znak,
Kędy jest źródło nadziemskiej potęgi,
Gdzie słońce świeci, jak ognisty krzak,
W którym ukryty jest tajemny Bóg,
Co dziejów ziemi wieczny trzyma ster,
Gdzie wyje groźny wichrów róg
I brzmi melodya sfer:
Tam prując piersią chmur ocean lotny
Krążę samotny.

Lecz choć nademną niema nic, prócz słońca,
Chociaż w przestworach powietrznych jam król,
Wolny, jak wicher, co chmury roztrąca:
Przecież mą rozkosz niszczy ciągły ból — —
Podemną nizko leży ziemia... tam...
Mogę nią dzisiaj dumnie gardzić ztąd,
Gdzie na rozpiętych skrzydłach trwam
Zawiei łamiąc prąd,

Lecz czas nadejdzie, który z wyżyn pchnie mię
Na dół — na ziemię...

O! gdybym zdołał w słoneczne ognisko
Wzlecieć i w popiół tam zmienić się wraz
I nie spaść nigdy, by skonać tam nizko —
By w moich górnych skrzydłach lągł się płaz...
Ale do słońca promienistych zórz
Próżno mnie duma i chęć lotu rwie,
Skazanym runąć w pył i kurz — —
Lecz nim źrenice me
Śćmią się, co ziemię zwykły mierzyć harde,
Cisnę jej — wzgardę!...

Kocham cię nocy cicha...

Kocham cię nocy cicha i bezgwiezdna,
I chwilę twoją, kiedy duszą tonę
W ocean myśli, bez obrzeża, bez dna — —
Kocham was głębie myśli nieskończone,
Kocham cię ciszo chmurna i posępna,
Ciebie, zastoju ciemności nademną,
Ciebie pogrozo pustek z nieba zstępna,
I ciebie głuszo nad powierzchnią ziemną.
Kocham Was! Nigdzie sercem nie wołany,
Zbyt dumny, serce swe rzucać pod nogi,
Samotny, w bezcel idący bez drogi,
Kocham was! Wyście mi jako orkany
Dla myśli mojej, co nakształt sokoła,
Z szczytu lotnego zrywa się skrzydlata,
Mocna i śmiała, w lot z mojego czoła,
I w nieskończoność zatapia się świata.

Daleki świecie...

Daleki świecie wiecznie złocistego lata,
Kędy olbrzymie rzeki toczą święte wody,
Gdzie się w słońcu meczety błyszczą i pagody
I piramida szczytem pod błękit wylata;

Gdzie złotą od gwiazd nocą płynie łódź skrzydlata
Zostawiając wśród brzegów milczące ogrody;
Ziemio, gdzie zadumane, odwieczne narody
Siedzą, jak sfinks, wpatrzone w tajemnicę świata;

Od dzieciństwa śnię ciebie i patrzę ku tobie!
Wędrując błędną myślą po szerokim globie
Ileż mil już przebiegłem po twoich przestrzeniach,

Kąpiąc się w blasku słońca, w gwiaździstych pro-
[mieniach
I w twych bezdennych puszczach, gdzie człowiek
[przepada
Jak obłąkana gwiazda, z gwiazd odbita stada.

Niewierny.

Przychodzą na mnie godziny zwątpienia,
Gdy tracę wiarę w Twoją dobroć Panie,
W Twe miłosierdzie, w Twoje miłowanie,
W wolę zbawienia,
A nawet w Twoją istność i władanie.

Naówczas pragnę, abyś w błyskawicach
Na niebo wstąpił, i w płomieniach cały,
Pan pełen mocy i Bóg pełen chwały,
Choćby w źrenicach
Twoich złowróżbne dla mnie skry gorzały;

Choćbyś mnie strącić miał karzącą ręką
Z powierzchni ziemi gdzieś w czarne bezdenie
Na beznadziejne wieczyste cierpienie;
Albowiem męką
Najokropniejszą z wszystkich jest wątpienie.

Gdy Ty mi konasz, dusza we mnie kona,
Noc się ogromna, wieczna rozpościera;

Myślom się otchłań i przepaść otwiera
Nieprzenikniona — —
I dusza kona i serce umiera.

Zjaw się, o! zjaw się na wysokiem niebie
Na wozie wichrów, na ognia rydwanie,
Zjaw się, jak słońca blask na oceanie,
Daj ludziom Siebie!
Zjaw się na niebie, o Boże... o Panie!...

Konaj me serce...

Konaj me serce — — po co żyć ci dalej?
Żadne z twych pragnień nigdy się nie iści — —
Wrzej, aż cię ogień wewnętrzny przepali,
I uschnij, nakształt oderwanych liści.

Milcz i umieraj. Ileżeś-to razy
Zadrgało próżno; klątwy ileż-krotne
Na twe szalone rzucałoś ekstazy,
I znów milczało — — dumne i samotne.

Ale tej nocy posępnej i sennej
Nie zdołasz milczeć, szał buntu cię zrywa,
Z milczenia twego powstajesz Gehenny,
Na ustach twoich drga klątwa straszliwa...

Gdyby ta klątwa zmieniła się w gromy,
Skały się skruszą i spłomieni morze,
Zadrży sklep niebios wiecznie nieruchomy,
Gwiazdy zeń runą w przepaść ....!...

Kretynów ludzkich ..

Kretynów ludzkich olbrzymie gromady
Z głupiem szyderstwem lub głupiem wzburzeniem,
Patrzą na ludzi, którzy w nowe szlaki
Idą, wiedzeni myślą lub natchnieniem.

»Tylko to może być dobre, co stare!«
Kretynów motłoch krzyczy lub mamrota —
A więc wskroś dobrą głupotą, kretyni,
Jest wasza, stara, jak sam świat, głupota.

Brzozy.

Zapłakały rdzawe liście
Rozpłakanych brzóz,
Na dalekie ciemne morza
Popłynął ich głos.

Zapytały morza: »Czemu
Łkacie smutno tak?
Czy wam słońca brak jasnego,
Czy wam deszczu brak?«

Nie brak nam jasnego słońca,
Deszcze chmury ślą,
Tylko ziemia, kędy rośniem,
Przesiąknięta krwią.

W oliwnym gaju...

W oliwnym gaju, gdzie pachną jaśminy,
Perłowe lilie i szkarłatne róże,
Nad cichem morzem barwy złoto-sinej
Od słońca, co się paliło w lazurze,
Dzieło od bogów natchnionego dłuta,
Afrodis stała z marmuru wykuta.

Naga, z uśmiechem boskim, na pół senna,
Czysta, jak kiedy z wód wytrysła piany,
Stała wieczyście pogodna, kamienna,
A marmur w słońcu lśnił blado-różany...
Jej piękna w ludzkiem nie wyrazić słowie,
Jej pięknu sami dziwią się bogowie...

Oliwnym gajem w miedzianej zbroicy,
Ku morskim brzegom grecki młodzian kroczył,
Włócznię z jaworu kołysał w prawicy,
Z hełmu się kity długi strumień toczył;
Widna mu z oczu i z ciała postawy
Odwaga, siła i dumna chęć sławy.

Na bój szedł straszny... Jako sępów stado
Napada gniazdo śmiałego sokoła:
Tak Pers, ogromną ruszywszy gromadą,
Peloponezu chce zagarnąć sioła —
Ale napotka mężne Grecyi syny,
Okute tarcze, ostre rohatyny.

On naprzód z roty wystąpił orężnej,
Aby zobaczyć, czy na morzu w dali
Perskich okrętów nawały potężnej
Nie widać pysznie płynącej po fali,
Jak łabędź, co się skrzydlaty kołysze —
Opodal idą jego towarzysze.

Oto po morzu, jak chmury po stropie,
Śmierć przynoszące nawy Persów płyną;
Tłum wielki, zbrojny i w łuki i w kopie,
Nieprzeliczony, jak gwiazdy w noc siną,
Gdy miesiąc srebrny nie świeci na nowiu,
A od gwiazd rojno na niebios pustkowiu.

Lecz jako zorza krwawo powstająca
Spędza ze stropu nocy złote błyski:
Tak Grecya, sławą podobna do słońca,
Rozproszy wroga ostremi pociski.
Ares na walkę powiedzie ich zgubną,
Da laur tryumfu, lub śmierć wiecznie chlubną...

Pójdźcie najeźdzcy! On pierwszy umoczy
W krwi waszej dziryt!... Chciałby biec przez fale!...
Wtem rozognione uderzył mu oczy
Marmur, na słońcu błyszczący wspaniale...
I wszystka krew w nim płomieniem zażegła
Z żył mu się w serce stoczyła i zbiegła.

W hymnie wspaniałym czarowna przyroda
Wielbiła piękność bóstwa niezrównaną,
Śpiewa ją morza szafirowa woda,
Śpiewa ją niebo i barwą różaną
Śpiewają kwiaty... Bóstwo śnieżnołone
Stoi zaklęte w marmur, uwielbione...

I Grek odrzucił swój dziryt stalony,
Zerwał hełm z czoła długą zdobny kitą;
Żądzą płomienną miłości palony
Krzyknął, przed boską stając Afrodytą:
»— Za jeden uścisk twój, bogini złota,
Zapłacę chwałą mojego żywota!...«

I dziw!... Ożywia się posąg kamienny,
Usta rumienią, oko blaskiem pała,
Łono faluje i z zadumy sennej
Bogini budzi się różano-biała...
. . . .
. . . .

. . . .

. . . .

A jego bracia milczący leżeli
Na piersiach wrogów i na piersi krwawej...
Bogini piękna nie wyrazić w słowie;
Jej pięknu sami dziwią się bogowie.

Cień Chopina.

—

Na wiejskie gaje, na kwietne sady,
Na pola hen,
Idzie nocami cień jego blady
Cichy, jak sen.

Słucha, jak szumią nad rzeką lasy
Owite w mgły;
Jak brzęczą skrzypce, jak huczą basy
Z odległej wsi.

Słucha, jak szepcą drżące osiny,
Malwy i bez;
I rozpłakanej słucha dziewczyny,
Jej skarg, jej łez.

W wodnych wiklinach, w blasku księżyca,
W północny chłód,
Rusałka patrzy nań bladolica
Z przepastnych wód.

Słucha jęczących dzwonów pogrzebnych,
Ich wielkich łkań,
I rozpłyniętych kędyś, podniebnych
Gwiazd błędnych drgań...

Słucha, jak serca w bólu się kruszą
I rwą bez sił — —
Słucha wszystkiego, co jego duszą
Było, gdy żył...

Dusza ma, która więcej w wnętrzu swojem tworzy...

Dusza ma, która więcej w wnętrzu swojem tworzy,
Niż z zewnątrz siebie bierze: coraz niżej tonie
W jakieś bezdenne głębie, coraz szersze błonie
Widzi przed sobą puste, głuche i bez zorzy.

Gdy dusza ma w te głębie pogrąży się bez dna,
Gdy wejdzie na te błonia bez czasu, bez końca:
Słucham, ale głos żaden uszu mych nie trąca,
Patrzę, lecz bezmiesięczna mi noc i bezgwiezdna.

Dusza ma leci kędyś poza obręb bytu,
W jakąś rozwiej przestrzenną, cichą i zamgloną:
Nirwana świat mi szarą okrywa zasłoną
I wszystko się pogrąża w otchłaniach niebytu.

Ptak i człowiek.

CZŁOWIEK.

Ptaku nie śpiewasz? A bracia twoi
W leśnej gęstwinie,
Nad melodyjnie szumiącą rzeką,
Każdy do pieśni swe gardło stroi
I echo płynie,
Płynie daleko...
W promienie słońca, co się uśmiecha
Światłem obłoku,
Blaskiem potoku
I niebo w iskier ocean mieni,
Radosna pieśń ta się wplata,
I w nieskończonej dźwięczy przestrzeni
Wszechświata.
Czemu w zadumie siedząc ponurej
Nie łączysz głosu z bratniemi chóry?

PTAK.

Kiedy, jak listek wiatrem niesiony,
Przelatywałem nad gaj zielony,

Ujrzałem gniazdo w gąszczu usłane.
Na gnieździe matka zraniona
Od nielitosnej, zabójczej kuli,
Krew wylewając przez ranę,
Bezpióre pisklę do krwawego łona
        Konając tuli
I w jasny błękit rozpięty nad sobą
Patrzy z bezbrzeżną, okropną żałobą,
I nad swem dzieckiem, matka nieszczęśliwa,
Zbyt słaba, by błagać jękiem,
Niema, oczyma litości przyzywa...
W tej chwili pieśń ma byłaby oddźwiękiem
Prośby o litość tej niebu jasnemu
Rzuconej z ziemi, więc milczę...

CZŁOWIEK.

        Wiem czemu.

Fragmencik.

Wierzę, że racyę najświętszą miał,
Kto spalił Giordana Bruna — —
Ah! dotąd jeszcze nad Rzymem się
Świeci jaskrawa łuna...

Z zachwytem patrzę się w łunę tę
A rośnie we mnie dusza,
Ilekroć na myśl przychodzi mi
Więzienie Galileusza...

I w zachwyceniu roztapiam się,
Jakby w winnicy szampańskiej,
Ilekroć razy mignie mi cień,
Cień inkwizycyi hiszpańskiej...

Ty nie giń marnie...

Ty nie giń marnie, gdy w serce cię rani
Zabójczy grot;
Ty nie uciekaj do cichej przystani
Gdy ryknie grzmot.

Niech się uczucia po uczuciach kruszą!
W kraj myśli idź —
Z umarłem sercem, ale z żywą duszą
Wszak można żyć.

Niech na bałwany piętrzą się bałwany!
Niech pęka łódź!
Na jednej desce łodzi zdruzgotanej
Toń można pruć.

Dumny zwycięzca w walce z sercem swojem,
Wyższy nad gmin
Dzielnie z losami prowadzonym bojem,
Sięgaj po czyn.

Raz powalony, ty się nie poddawaj —
Jak ranny lew
Tem potężniejszy, tem zuchwalszy stawaj
Wszystkiemu wbrew!

Niech nie unosi cię nigdy namiętność...

Niech nie unosi cię nigdy namiętność!
Z ludźmi potrzeba jak z wrogiem na wojnie,
Walczyć odważnie, lecz trzeźwo, spokojnie;
A jeśli nie chcesz, aby cię zdeptali:
Duma niech służy ci za hełm ze stali,
Za miecz szyderstwo, za tarcz obojętność.

Miłość, przyjaźń, to pochodnie...

Miłość, przyjaźń, to pochodnie,
Które gasną w wieczór słotny:
Chociaż żyjesz niesamotnie,
Najczęściej konasz samotny.

Niczem dzień męki, gdy otucha wspiera...

Niczem dzień męki, gdy otucha wspiera,
Że po nim drugi, lepszy zajaśnieje;
Lecz gdy się w jutro zatraci nadzieję:
Z klątwą się żyje i z klątwą umiera.

Achilles.

Konam, a nie to jest mi największą boleścią,
Żem pokonany ręką podłą i niewieścią,
Ni że włóczni nie mogę cisnąć za nędznikiem:
Lecz że więcej nie błysnę, jak słońce, nad Greki,
Ja, com z obozu mego, bez zbroi, daleki,
Wroga od naw achajskich precz odpędził krzykiem.
Idźcie, słabsi i mniejsi, laur zdobywać w boju!
Tych, które dla mnie rosły, nie zerwiecie liści!
Idźcie, tysiące, w trwodze wywalczać i znoju,
Co ja sam jeden zdobyć dość silny i śmiały
Byłem, gdyby bogowie chcieli wiekuiści.
Umrę spokojny — większej nie można mieć chwały.
Umieram, ale ginąc z podłej ręki, młody,
Przeżyję chwałą całe ludy i narody.

Zkądś zdaleka...

Zkądś zdaleka ku mnie płyną
Niesłyszane nigdy tony — —
Płyną niebios pustką siną
Falą owiewają mnie — —
Jak odległe dźwięczą dzwony,
Jak odległe dźwięczą lutnie,
A dźwięk każdy niesie łzę — —
I w przestrzeni kędyś giną
Dźwięcząc dziwnie, dziwnie smutnie.

Słucham — — oczy mgła mi słoni — —
Jakieś drzewa widzę w dali,
W wód odbite jasnej toni,
Widzę zieleń jakichś łąk,
Kwiaty lilij i konwalij
W kroplach srebrnej rosy lśniące — —
Od promiennych słońca wstąg
Jakieś niebo mi się płoni — —
Dziwne niebo, dziwne słońce...

Senna cichość i milczenie
Przedstworzenne... Słońce płonie,
Mglą się złotem łąk zielenie,
Lśni się w słońcu każdy kwiat,
A w świetlistych mgieł osłonie
Jakiś biały cień się jawi,
Długo, długo patrzy w świat
I wyciąga obie dłonie
I z mgieł światu błogosławi.

Z puharem w dłoni.

Wesoło bracia! Wszakżeśmy młodzi,
Wszak taki piękny przed nami świat!
Tak miło wspomnieć, gdy słońce schodzi
Zeszły dzień cały — — wszakże nam chwile
Zbiegły tak słodko, rozkosznie, mile — —
A z jutrem nowa rozkosz się zrodzi,
Dziś skryta jeszcze, jak w pączku kwiat...

Nam źle — lecz jest-że komu inaczej?
Patrz: oczy ludzi — krynice łez,
Głos ich, to wieczne jęki rozpaczy — —
Świat cierpieć musi! Taki konieczność
Wydała wyrok; lecz czyż przez wieczność
Ból ten trwać będzie? Ha! Niechby raczej
Istnieniu ziemi przyszedł już kres!

Nikt z żywych szczęścia zaznać nie może,
Ale nieszczęścia nie czuje trup...
Pijani — śnijmy, żeśmy obroże

Życiowe zdarli... Oto z pod ziemi
Szkielet nas wabi dłońmi suchemi...
My uciekamy?... Nikczemni tchórze!
Wszakże ucieczką przed złem jest grób!...

Ha! zanim puhar w drzazgi roztrącę,
Zanim zamąci myśli me sen,
Krzyknę, że gdybym miał wszechmogące
Boga ramiona: to bryłę ziemi
Wyrwałbym z posad dłoniami memi
I o płomienne grzmotnął ją słońce,
Ażby rozprysła, jak puhar ten!...

Gdziebądź, gdziekolwiek...

»Gdziebądź, gdziekolwiek, byle z tego świata!«
Nazbyt tu wiele złego i cierpienia — —
Tak krucha tylko przedziela nas krata
Od wyzwolenia.

»Cokolwiek będzie, nie może być gorzej!«
Więc jeden tylko ruch, szarpnięcie jedno,
A krata pęknie — — i czegóż się trwoży
Duch, lica bledną?

Kto wypił wszystkie tej ziemi gorycze,
Czuł wszystkie ciernie życia wbite w skronie,
Czyż ma go trwożyć widmo tajemnicze
Świata po skonie?

Tam — — tam być może pustka za mogiłą,
Wszystkie cierpienia umilkną w niebycie,
A choćby samo tylko piekło było,
»Wszak niem jest życie«.

I czegóż trwoży się dusza i wzdraga?
Jeżeli w piekło — czyż z piekła iść trudno?...
Na czoło drżącą dłoń kładzie odwaga,
A lica chłódną.

Przymknąwszy oczy, dusza widmu śmierci
Niechce w twarz patrzeć, nędzna, wzgardy godna — —
Niech cię więc życie nawskróś bolem wierci!
Pij czarę do dna!

Pij czarę do dna i wij się w boleści,
Czuj, jak ci serce, mózg pęka na ćwierci,
I drżyj z obawy, czy już nie szeleści
Cichy krok śmierci?

Na świat ten dusza przychodzi młodzieńcza...

Na świat ten dusza przychodzi młodzieńcza,
Podobna łące kwiecistej o wiośnie,
Gdzie tyle kwiatów różnobarwnych rośnie,
Jakby na łąkę tę upadła tęcza.
Ale poznanie, jak kret kwiatom owym
Korzeń podgryza; jak ręka szkodliwa
Łamie łodygę i kielichy zrywa;
Jak mróz je warzy oddechem niezdrowym — —
I kwiaty więdną — i w życia połowie
Masz w sobie duszę, jak martwe pustkowie.

Tłum tych leżących mar co chwila rośnie,
A każda nowo przychodząca, blada,
Jak człowiek drogą zmęczony, upada
Na ziemię dziwnie chciwie i radośnie.

Drwię...

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Drwię z woli — wolę rozkrusza konieczność;
Drwię z czynu — żaden w pełni nie odpowie
Zamiarom w mojej powstającym głowie;
Drwię z świadomości — we wszystkiem jest sprze-
[czność.

Drwię z prawdy — nazbyt często już skłamała,
Każdy ją widzi oczyma innemi;
Drwię ze wszystkiego, co jest na tej ziemi,
Prócz cierpień ducha i prócz cierpień ciała.

jedno tylko mam wieczne pragnienie:
Nirwany, w której nic już nie zaboli,
Nic nie ucieszy, w której się powoli
Przechodzi ze snów cichych w nieistnienie.

Sztuka jest jako drzewo...

Sztuka jest jako drzewo słodkim okryte owocem,
Pod którem stoją tłumy, a tylko z nich najzręczniejsi
Wejść na to trzewo potrafią; lecz źle jest, jeśli kto
[wszedłszy,
Tłumom na dole stojącym słodkich nie zrzuci owo-
[ców.
Albowiem sztuka w sercach nie znajdująca odczucia,
Podobną jest do zimnych promieni gwiazd i księżyca,
Pod któremi kiełkować, ni rosnąć kłosy nie będą,
Jak pod słońca płodnego świętym, gorącym pro-
[mieniem.

Beatrix Cenci.

Wszystko skończone. Przeszło moje życie,
Sen straszny... Gwiazdy blednąc na błękicie,
Złowrogi dla mnie dzień wiodą,
I nie zaświecą te gwiazdy nade mną
Nigdy już, nigdy!... W krainę podziemną
Idę tak nagle, tak młodo.

A nawet jeszcze te powoju kwiaty
Nie zwiędną rychło, wiszące u kraty,
Choć to kwiat wątły i kruchy;
A nawet sieć ta pajęcza nie spadnie
Rychło ze sklepień, ani wiatr rozkradnie
Z okna te chleba okruchy.

I tylko nędzna ma głowa wyklęta
Wnet się potoczy z pnia, żelazem ścięta,
Jak kwiat zerwany od kosy,
I tylko serce moje bić przestanie —

A jam tak młoda... Litości o Panie!
Cudu!... Czyż głuche niebiosy?...

Jak cicho... Od skał ranne wiatry wioną
I twarz mą chłodzą i skroń rozpaloną
I pierś już ogniem nie dyszy — —
Kwiaty mi zapach do celi szlą z pola,
Jakby żegnały... przed oknem topola
Tak smętnie szumi w tej ciszy.

A tam słowiki w gajach tak żałośnie
Nucą, tak smutno, tak dziwnie litośnie,
Jakby płakały po stracie
Nieopłakanej... O słodkie ptaszyny,
Czy wy żalicie się biednej dziewczyny?
Czy wy nademną tak łkacie?...

W sen pogrążonej, w sen, co się nie prześni,
Jutro mi waszych nie słuchać już pieśni,
Lecz mówcie o mnie przez noce;
A jeśli wszystek mój los w pieśni waszej
Zamknąć zdołacie: to gaj się przestraszy
I każdy liść zadygoce.

I wody, co się wiją między łozy
Fale wstrzymają, drętwiejąc od zgrozy,

Jakby w zimową noc mroźną — —
I chyba Bóg tam w górze na niebiosach
Skargę usłyszy w smętnych waszych głosach
I żal Go zdejmie zapóźno...

Nie! Ciebie nic już...

Nie! Ciebie nic już rozbudzić nie zdoła
Umarłe serce! Jesteś jak narzędzie
Pieśni rozbite, zkąd nawet anioła
Muzyki, ręka głosu nie dobędzie...

Serce ludzkie.

Kto powie, co pierś ludzka mieści,
Kiedy ta sama droga dłoń,
Którą się lata w myślach pieści,
Uderzy niespodzianie w skroń,
I niedba nawet, czy kroplami
Krwi wydobytej się nie splami?

Kto pojmie, co się czuje w chwili,
Gdy usta, których słowa wprzód
Z rozkoszą w sercu-śmy rzeźbili,
By kiedy dojmie życia chłód,
Ich ciepłem bronić się przed chłodem:
Same w twarz nagle rzucą lodem...

Ah! Jeśli jest co nieskończonem,
To jest tęsknota — — to jest żal...

Ah! Jeśli bywa co szalonem,
To serce ludzkie: pośród fal
Krwi własnej tonie, ból je w kleszcze
Chwycił, a ono kocha jeszcze...

Godzina tworzenia.

Czarodziejska godzino tworzenia,
Najpiękniejsza z wszystkich godzin życia,
Światło twoje duszę rozpromienia,
Jak toń morską rozpromienia słońce,
Kiedy szuka w niem swego odbicia,
        Na błękitach płonące.

W czarodziejskiej tworzenia godzinie
Myśl rozwija się, jak kwiat różany:
Zwolna listek po listku rozwinie,
Coraz więcej z listków bije woni,
Aż cudnemi barwy malowany,
        Cały kwiat się rozsłoni.

A ten kolor i ten zapach w kwiecie
Tak upaja bosko i odurza,

Że o całym zapominasz świecie,
Jakbyś w zamków zaklętych podwoje
Wstąpił nagle — świat twój, to myśl-róża,
Umysł i serce twoje.

Moja kochanka.

Nie z »mojej sfery«, Bogu dzięki,
Była kochanka ma,
Nie miała wypieszczonej ręki,
Kocham, pisała przez *ha*.

Zupełnie była bez maniery,
Mówiła często »cas«,
A jednak wszystkie z »mojej sfery«
Oddałbym za nią wraz.

Pierwszy spacer.

Die Hand, die Samstags ihren Besen führt,
Wird Sonntags dich am besten caressiren.
Goethe.

Pamiętam pierwszy spacer mój z tobą:
Wieczór był cichy, miły,
Śniegowe lekkie, puszyste płatki
Drzewa srebrzyły.

Śniegowe płatki wplotły się w loki
Nad czołem twojem bladem,
I byłaś dziwnie piękna, w srebrzysty
Strojna dyadem.

Od blasku miejskich latarni lśniący
Śnieg na twe lica prószy,
A jam w błękitnych oczach twych czytał
Wróżbę rozkoszy.

Nie przeczuwałem wówczas, twój uśmiech
Widząc nawpół dziecięcy,
Że mi ze wszystkich dasz, prócz rozkoszy,
Zgryzot najwięcej.

Ja, kiedy usta...

Ja, kiedy usta ku twym ustom chylę
Nie samych zmysłów szukam upojenia,
Ja chcę, by myśl ma omdlała na chwilę,
Chcę czuć najwyższą rozkosz — zapomnienia...

Namiętny uścisk zmysły moje strudził — —
Czemu ty patrzysz z twarzą tak wylękłą?
Mnie tylko żal jest, żem się już obudził,
I że mi serce przed chwilą nie pękło.

Błogosławiona śmierć, gdy się posiada
Czego się pragnie nad wszystko goręcej,
Nim twarz przesytu pojawi się blada,
Nim się zażąda i znowu i więcej...

Jak po bezbrzeżnym, modrym oceanie...

Jak po bezbrzeżnym, modrym oceanie
Żegluje okręt: tak ja teraz płynę
Po bezgranicznym rozkoszy przestworze.

Dmij namiętności szalony orkanie!
Z krańca do krańca, wszerz, wzdłuż niech przepłynę
To fal płomiennych niezgłębione morze...

A gdy już siły pruć fale nie stanie,
Niechaj do portu owego dopłynę,
Gdzie się na wieki żegna słońca zorzę.

Nie gorzkiem będzie mi to pożegnanie:
Na słodkie wody wspomnień myślą wpłynę,
Na łonie śmierci skroń z uśmiechem złożę...

I jeden atom powietrza, znów dwoje...

...I jeden atom powietrza znów dwoje
Naszych spojonych ust sobą obdzielił,
I jeden spływa na dwie nasze głowy
Obok leżące, promień księżycowy,
I dziś my razem, znów razem oboje,
O czem śnić wczoraj bym się nie ośmielił...
Przed własnem szczęściem tak zdumiony stoję,
Jakby mi nagle przed stopą wystrzelił
Słup ognia — i szedł w niebieskie sklepienia
I stał się niebu filarem z płomienia...

Żegnałem cię podobną róży...

Żegnałem cię podobną róży,
Której liść każdy tchnie rozkoszą — —
Ani się kiedy nad nią chmurzy
Pogodny błękit, ni oprószą
Śniegi jej kielich, ale w słońca
Promieniach kwitnie czarująca.

Dziś twarzą witasz mię żałośną,
Jako boleści posąg cicha,
Tylko się łzą skarżąca głośno;
Podobna róży, co usycha,
I krasne barwy w blade mieni,
Nim jeszcze nadszedł czas jesieni.

Jak strumień, co po deszczu ścieka,
W niedługiej chwili szczęście minie,
Ale nieszczęście jest jak rzeka,
Co z nieprzebranych źródeł płynie — —
Więc ci nie mówię: miej nadzieję,
Że jasne jutro ci zadnieje.

Ani ci mówię: skarż się światu,
Bo gdzież są piersi, co westchnienie
Dla więdnącego mają kwiatu?...
Ani ci radzę zapomnienie,
Bo nie zapomnisz, bo nie skona
Boleść i wstanie pogrzebiona.

Mówię ci tylko, że w żałobie,
Jesteś mi stokroć więcej drogą,
I całe serce święcę tobie —
Cóż nad to ludzie święcić mogą? —
I dzielę twoją boleść całą
I pół jej serce me zabrało.

Bądź zdrowa!...

Bądź zdrowa! Całe serce w tych wyrazach mieszczę,
Bezmiar tęsknoty, bezmiar żalu w nich zamknąłem...
Kochanko! Czyliż kiedy spotkamy się jeszcze?
Jak wąż pod skrzydło ptaka, przeczucie złowieszcze
Wpełzło w mą duszę, że już nie zejść nam się społem

Ah! Prędzej niż się rano stopi kropla rosy,
Prędzej niż lilia zwiędnie, gdy mróz ziemię ścina,
Prędzej, niż obłok przemknie z wichrem przez niebiosy:
Przy tobie, modrookiej i srebrzystogłosej,
Zbiegała mi święcona miłości godzina.

Kres nadszedł. Już nie zbliżyć mi do twego łona
Piersi, byśmy szeptali blizkiemi ustami;
Cień mi twój tylko chwytać w spragnione ramiona,
Gdy staniesz przy mnie, dłutem wspomnienia rzeźbiona,
Gdy mnie smutek zamroczy, tęsknota omami...

Naówczas zamknę oczy, w wyobraźnię zmienię
Całą moc mojej duszy i złudzony chwilę

Słyszeć będę twe słowa, czuć warg twoich tchnienie,
I drżąc z trwogi, że spłoszy cię mych powiek mgnienie:
Wbrew woli je podniosę — i próżno już schylę.

Tak żeglarz, gdy go okręt z wichrami w zawody
Niesie w dal, przez ocean bezmiernie szeroki:
Gdy oczy zamknie, widzi rodzinne zagrody,
I drżąc, że mgnieniem powiek sen spłoszy, na wody
Spojrzy, i w żal się grąży, jak bezdeń, głęboki.

Mych uczuć jakże słabe w mych słowach odbicie!
Niedostępna jest rozkosz i boleść dla słowa!
Głosu ptaka, gdy strzałą zraniony w błękicie,
Żegna błękit i słońce i lot swój i życie,
Trzeba mi, by ci posłać ostatnie: bądź zdrowa!...

Fantazya.

Piękna, pamiętasz ty ów dzień,
Gdy w skały weszliśmy ogromne,
Wolnych, szerokich szukać tchnień?...
Słuchaj — ja wszystko ci przypomnę...
W cichą wstąpiliśmy dolinę,
Kędy błękitny dzwonek rośnie,
A z urwisk główki srebrno-sine
Szaroty chylą doń miłośnie;
Gdzie zżółkła paproć, mech czerniawy,
Obrasta drzew zwalonych stosy;
Gdzie nad zielone, bujne trawy
Podnoszą rdzawy listek wrzosy;
Gdzie kolorowy rój motyli,
Co się barwami tylu mieni,
Jakby się z rozpryśniętej tęczy
Motyle te zrodziły, wieńczy
Blade kielichy dzikiej lilij,
Lub z wiatrem buja po przestrzeni.
Pomnisz tam śpiące, ciemne stawy,

Kamień przybrzeżny czerwonawy,
Toń, która coraz w głąb ciemnieje,
Aż wzrok, jak krótka zbyt kotwica,
Dna głębokiego nie zachwyca,
Ale w pośrodku fal się chwieje?
Pamiętasz tam obłoków cienie
Przepływające po granitach?
I orły owe na błękitach,
Podobne łodziom dwużaglowym
Na oceanie lazurowym?
I takiej przestwór ciszy wielkiej,
Że — zda się — słychać sfer dzwonienie,
Które roztrąca w locie słońce?
I tak bezbrzeżne skał milczenie,
Że — zda się — słychać jak kropelki
Dźwięczą z pod śniegu spływające?...

II.

Jak wizya senna, piękną cudnie
Owa dolina jest w południe;
Piękniejsza, gdy o słońca skłonie,
Cała różową barwą spłonie.
Lecz kiedy cicha noc nastanie,
I po niebiosów oceanie
Wśród rozświeconych chmur odmętu,

Jak wśród falistej, lśniącej piany,
Miesiąc, podobny do okrętu
Krytego blachy srebrzystemi,
Płynie i leje blask świetlany
Po ciemnych wodach, ciemnej ziemi:
Wówczas dolina, wody, góry,
Lasy, obłoki i lazury
Mienią się w jeden cud natury!
Melodya — drzew i kaskad szmer —
Z powiewem wiatru żeglująca,
Zda się, o gwiazdy lecąc trąca,
O blady, cichy krąg miesiąca
I splata się z melodyą sfer...
I dziwny czar na duszę schodzi — —
Od tego czaru myśl omdlewa
I taka tęskność ją owiewa
Za ową grą, że w chmur powodzi
Chce się zanurzyć, skały minąć,
Przebić błękitu wskroś powierzchnię
I w nieskończoną rozwiej płynąć...
W takiej godzinie, kiedy zasną
Zmysły, z przed oczu ducha pierzchnie
W zmrok niepamięci świat istotny:
Duch ludzki twórczą mocą własną —
Jako Bóg senny, swej budowy
Niepomny — świat buduje nowy,
Świat, jak mgła zwiewny i rozlotny,

Ale życiowej pełen treści,
Pełen rozkoszy lub boleści.

III.

W takiej godzinie jam w nicości,
Tworzenia tajemniczą siłą,
Stawił świat pełny twej miłości,
A tak budowę mocno dzierżył,
Żem w jej istnienie sam uwierzył
Nie bacząc, że ja tylko sam
Kocham; że serce twoje biło
Tylko mojego serca tętnem;
Że ilem ognia wlał w twe łono —
Twarz tchnieniem paląc ci namiętnem —
Tyle w niem tylko ognia było,
I tyle tylko wówczas, tam...
Gdy nas od siebie rozdzielono
Wraz serce twoje ścichło, skrzepło...
Tak, póki słońce jasno płonie,
Ciemnego morza skrzą· się tonie
I chłodna fala zda się ciepłą,
A gdy się słońce w zmroki schowa,
Fala znów ciemna i lodowa.
Śniłem twą miłość — — był to szał,
Sen najpiękniejszy mego ducha,

Lżejszy nad słowa, wymówiony,
Przez owe czarodziejskie tony,
Jakiemi noc ta grała głucha — —
Gdybyż przez wieki sen ów trwał!...
Lecz prędzej od płomiennych strzał
Piorunów, co w obłokach wiszą,
Woda w jeziorze się zapali
I w ogniu stanie szyba wód;
Prędzej kaskady się uciszą,
Kwiat skamienieje, wichry wprzód
Twardemi skały zakołyszą;
Prędzej w świetlistym łuku tęczy,
Nakształt wprawionych w pas opali,
Gwiazdy zabłysną; wpierw w pajęczej
Sieci, na wiatru wziętej skrzydła,
Orzeł tatrzański się usidła;
Pierwej się Tatry skruszą w pył:
Nim drugi raz tak będę śnił!

IV.

W muszli głęboko tkwi zamknięta
Perła, a kto ją dobyć chce,
Musi powłoki strzaskać zwoje:
Niż perła w muszlę, w serce moje
Głębiej, o! głębiej tyś wrośnięta — —
Czas zeń nie zdołał wyrwać cię...

Myśl moja ściga cię, jak fala
Ściga za falą w wodnej toni,
Jak noc za dniem, za tobą goni,
I tak się z tobą wraz zespala
I nieoddzielna jest od ciebie,
Jak żar od kręgu słońca w niebie,
Jak nieoddzielny jest szum cichy
Od jodły, którą wiatr kołysze,
Jako ten puch, który kielichy
Kwiatów pokrywa. Zawsze, wszędzie
Ja ci mą myślą towarzyszę,
W sieć pragnień cię oplątam całą,
A sieć tę moja miłość przędzie.
Kiedym cię ujrzał, toś mi cała
Przed zadziwionym wzrokiem stała,
Jak moich długich snów wcielenie,
Jak wizya, którą ja tęsknotą
Zmusiłem oblec kształt widomy.
Zda mi się, żem jak przeznaczenie
Wszechmocne, ziemi brał atomy
I z nich utworzył ciało twe —
Więc kocham całą mą istotą,
Krwią, mózgiem, sercem kocham cię!
A ty?... W cudowną ową chwilę
W nocy, wśród cichych, ciemnych skał,
Przysiągłbym, że nas nie rozłączy,
Jak tylko śmierć, co wszystko kończy,

I tylem przeczuć wówczas miał,
Wszystkie, prócz tego, że się mylę!...
W złudzenia bezmiar taki za nic
I nigdy, nigdybym nie wierzył,
Gdyby go własny mój nie zmierzył
Smutek bezdenny i bez granic...
Gdybym ten smutek mógł w płomienie
Zamienić: toby ziemski świat
Zwęglony, rozwiał się w przestrzenie,
Skrami obiegu znacząc ślad!
W wicher zmieniony z nieba sklepu
Gwiazdy-by zerwał, góry starł,
A rwąc kawały ziemi z stepu
Spiętrzonym kopcem błękit rył
I wstecz-by samo słońce parł!
Gdybym go w minę złotych brył
Zmienił, ziemię-bym kupił całą — —
Ale by kupić szczęścia pył,
Mojego smutku jest za mało...

Z pamiętnika.

Śpij serce moje — — nic już nie zakłóci
Spokoju twego, ciszy i martwoty — —
Ona odeszła i nigdy nie wróci.

Śpij serce moje — — dla ciebie świt złoty
Raz tylko błysnął i wnet zgasł w pomroku,
I nie zostawił nic, oprócz tęsknoty.

Ona odeszła — i nawet w jej oku,
Co było w duszy jej, nie wyczytałem — —
Śpij serce moje w ciemnych snów obłoku.

Niech krew się burzy morzem rozszalałem,
Niech pierś pragnienia płomieniami dyszy,
Niech mózg goreje wyobraźni szałem:

Ty śpij me serce w niezmąconej ciszy.

Czarna róża.

Serce me spało, a moja myśl
Tonęła gdzieś w lazurze,
Nagle ujrzałem przy sobie tuż
Skromniutką czarną różę.

Wspaniałą krasą jej kwiat i liść
Bynajmniej się nie płoni,
A przecież dziwny jakiś czar
Przykuwa wzrok mój do niej.

Czarna różyczko! zerwę cię,
Na piersi przypnę sennej —
Serce się budzi — cóż to? ma dłoń
Chwyta za kwiat kamienny!

Odchodzę smutny — w tej chwili znów
Z kamienia kwiat wykwita;
Wracam — i znowu moja dłoń
Za zimny kamień chwyta.

Ona gdzieś jest...

Ona gdzieś jest... ja wiem... wiem to i tęsknię do
[niej...
Wiem, jaką twarz ma, wiem, jakim się różem
[płoni,
Wiem, jaki szafir ócz ciemnemi rzęsy kryje,
Jaka w nich tkliwość lśni i jaki żar z nich bije.

Wiem, jaka śpiewa w nich słodycz niewysłowiona,
Jaka w nich słania się zaduma, drżą pragnienia,
Jaki wilgotny blask przez oczy te do łona
Ciągnie i jaka mgła lubieżna je zacienia.

Każdy jej uśmiech znam i każdy ruch, jej słowo
Każde w mem uchu brzmi muzyką sfer echową,
Każdą jej czuję myśl, znam kraje jej pamięci,
Wiem, czego żal jej, wiem, co trwoży ją, co nęci.

Co kocha, także wiem; znam serce jej i duszę,
I kocham całą mych niezmiernych smutków tonią,
Bezdenią tęsknot mych — — kocham i czuć to
[muszę,
Że nigdy myślą mi nie sięgać nawet po nią...

Naprzód! Niech ryczy burza!...

Naprzód! Niech ryczy burza! Nie cofnę się [z drogi!
W te chmur na hełmach Tatrów grzmiące pióro-[pusze
Od błyskawic płomienne: pójdę! Iść tam muszę!
Chyba topór piorunu podetnie mi nogi!

Naprzód! Wyżej! W mem sercu niema dzisiaj [trwogi!
Serca niema w mych piersiach! Już ścieżki pa-[stusze
Minąłem, już pod stopą żwir kamienny kruszę,
Próżno mię grom chce strwożyć i wicher zło-[wrogi.

Burza przeszła. Na szczytu stanąłem kolumnie:
Tam, daleko, daleko, tam, na drugiej skale,
Jest ta, za którą serce z piersi się wydarło...

Myślałem, że jej nigdy, nigdy nie odżalę,
A oto zda się czuję, jak przez toń zamarłą
Granitów, moje serce zwolna wraca ku mnie...

A jednak gdyby teraz...

A jednak, gdyby teraz wśród tych urwisk dziczy
Czuć na rękach dwie dłonie drobne i niewinne,
Patrzeć na usta małe, ciche, półdziecinne
I w oczy, naiwności pełne i słodyczy...

A jednak dziwny urok jest w duszy dziewiczej,
Moc, co serce okuwa w więzy dobroczynne,
Zdrój, zkąd się w myśli ciemne przelewa i winne
Blask światła i szlachetność przez cud tajemniczy

A jednak, gdyby teraz, wśród tych skał ogromu,
Szeptał ktoś o miłości, o szczęściu, o domu,
Ufając patrzył w otchłań przepaścistych zboczy –

A jednak, gdyby jakąś mieć życia ostoję,
Jakąś duszę kochaną, jakieś serce swoje — —
A oto tylko wicher wokoło się włóczy...

Przechodzą czasem...

Przechodzą czasem koło mnie kobiety —
Wizye i sny —
Spoglądam na nie płomieniami źrenic
Szepcąc: to ty!...

Lecz one idą dalej, mym złudzeniom
Zadając kłam,
A ja, z zawodem nowym i goryczą,
Znów jestem sam.

Blada róża.

Na me oczy czar uroczy
Chyba jakiś z nieba spadł —
Gdzie je zwrócę, gdzie wzrok rzucę
Bladej róży widzę kwiat.

Oczy mrużę, bladą różę
Widzę ciągle, jak i wprzód,
Sięgam do niej, ale w dłoni
Zamiast kwiatu czuję lód.

I opada róża blada
Rozsypała listki swe,
Pofrunęły, otrząsnęły
Jedną wielką rosy łzę.

Z kolumny skalnej...

Z kolumny skalnej patrząc w toń błękitu
W złotego słońca promiennej ozdobie,
Brałem kawałek twardego granitu
Z myślą o tobie.

W cichej dolinie, gdzie srebrzysta rzeka
Wali się z szumem w głąb przepaści ciemną,
Gdym zrywał kwiaty, choć wówczas daleka,
Ty byłaś ze mną.

Dziś, gdy godzina rozstania wydzwoni,
Nie dam kamienia, bukietu nie splotę,
Dam ci coś więcej, bo z serca, nie z dłoni:
Żal i tęsknotę...

Przeklina się ją...

Przeklina się ją! Gardzi się nią z duszy!
Plunęłoby się jej w twarz — z pełnem prawem,
A równocześnie żal za nią gniew głuszy,
Na dnie ubiegłe patrzysz okiem krwawem
I tej kobiecie, co dotknięciem plami,
Proch-byś zamiatał z poprzed nóg ustami!...

Odpocząć wreszcie...

Odpocząć wreszcie... Na zielonej hali
Jest jedno dziewczę ciche — — niech mi ono
Pachnącą watrę smrekową zapali
I głowę oprzeć da na bujne łono.

Szepnij mi czasem, Hanuś, jedno słowo
»Kocham« — i czasem niech ci serce słyszę;
Niech ogień świeci, niech nad moją głową
Dym się tumanem wiesza i kołysze.

Modlitwa indyjska.

O potężny boże Wisznu, co błękitem nieba władasz,
Co na skrzydłach złotopiórych olbrzymiego ptaka
[siadasz,
Co źrenice jak lotosu świetne kwiaty masz nad
[czołem:
Jeśli kiedy cię modlitwą i ofiarą mą ująłem;
O Garudo, boże płodny, co na wężu swym stu
[głowym
Odpoczywasz rozciągnięty w śpiewnym gaju dakty-
[lowym,
Co przelatasz bezmiar nieba, węża swego tocząc kołem:
Jeśli kiedy cię modlitwą i ofiarą mą ująłem;
O świetlany boże Mithro, co okręgiem rządzisz słońca,
Dłoń którego cienie nocne poza białe góry strąca,
Co obliczem świecisz światu promienistem i wesołem:
Jeśli kiedy cię ofiarą i modlitwą mą ująłem:
O bogowie wszechpotężni! dusza moja was zaklina:
Niech mnie kocha piękna Lami, niech mnie kocha ma
[dziewczyna!...

Mówcie! Czym ja ją naprawdę stracił...

Mówcie! Czym ja ją naprawdę stracił,
Ni kiedykolwiek odzyskać mam?
Ah! Choćbyście mi nawet przysięgli,
Nie chcę, nie mogę uwierzyć wam!

Ah! Choćbyście mi nawet przysięgli,
Że tę straconą odzyskać mam,
Że będzie moją, na zawsze moją:
Nie chcę, nie mogę uwierzyć wam...

Czemże jest młodość bez miłości?...

Czemże jest młodość bez miłości?
Jest jako gwiazda bez promieni,
Jako oaza bez strumieni,
Jest jako róży kwiat bez woni,
Jak bezowocny kwiat jabłoni,
Jest jako pszczelny ul bez miodu,
Jak pyszny pałac bez ogrodu.

Czem jest, kto niema kogo kochać?
Jest jak dąb na urwisku góry,
Jak wiotki powój bez podpory,
Jako jaskółka jest bezgniezdna,
Jako wodospad skalny bez dna,
Jak bez stolicy kraj szeroki,
Jako lecący wiatr w obłoki.

Senne marzenie.

I.

Nieskończoną morską toń
Pruje nasza lotna łódź —
Jam od wiosła odjął dłoń,
I ty wiosło twoje rzuć.

Cicho — żaden wiatru wiew
Niezamąca ciszy fal — —
Srebrnopiórych stada mew
Odleciały kędyś w dal...

Cicho, pusto — — woda lśni
Od złocistych słońca skier;
Lekkie, białe błądzą mgły
Wśród świetlanych, sennych sfer.

Patrz — — w oddali modrej ztąd
Coś majaczy w oczach nam — —
Jakiś cichy widać ląd,
Wyspa jakaś — — płyńmy tam...

II.

Cicho i pusto... Palmy zielone
Baldachim z liści zielonych kładą,
Kaktus ponsową otwarł koronę,
Lilje otwarły swą czarę bladą,
Róże, storczyki i heliotropy
Zapach nam z barwnych kielichów szlą,
Białe konwalie roszą nam stopy
Rosy z listeczków opadłą łzą.

Patrz — różnobarwnych ptaków gromada
Pośród palmowych liści przelata
I na ramiona nam prawie spada
Ta szczebiocząca rzesza skrzydlata.
Patrz — nie płoszymy naszym widokiem
Chybkich antylop wśród bujnych łąk;
Zdumionem na nas spojrzały okiem,
Zda się, że jadłyby z naszych rąk.

Patrz: jakąś grotę obrosły tuje,
Oplotły bluszcze i dzikie wino;

Wśród nich się powój kwiecisty snuje,
A w gąszczu słońca promienie giną.
A kiedy z roślin wiatr lekki strąca
Kropelkę rosy: ta zrazu lśni
Jak gwiazda z nieba opadająca,
A potem gaśnie, jak gasną sny...

Wejdźmy w tę grotę... Cisze tajemne
I ciemność wielka... Idźmy powoli...
Może spotkamy duchy podziemne,
Których gdzieś orszak tutaj swawoli.
Może gdzieś błyśnie ku nam widziadło
Krwawym kagańcem... Może się tam
Za nami wejście groty zapadło
I tu na wieczność pozostać nam...

III.

Jak cicho... Nocny czar
Na miasto zstąpił już;
Umilknął ulic gwar —

Słowiki słychać z róż,
Na niebie miesiąc lśni,
Łódź srebrna ciemnych mórz.

Miesiąca płomień drży,
Jak złota, drżąca nić,
I dzierga błędne mgły —

O luba! Chodźmy śnić...
Wśród nocnych słodkich cisz
W ramiona twe mnie chwyć...

Patrz w niebo! Wokół, wzwyż
Czar niepojęty tchnie...
O luba! Czemu drżysz?

»Bo kocham, kocham cię!...«

IV.

Całe miasto w ogniu skrzy,
Łuną gore nieba strop;
Tu z pochodni dymu mgły
Wznoszą się nad domów dach,
Tam z rakiety ognia snop
Leci w górę w złotych skrach,

Maski tańczą, dzwonki brzmią,
Różnobarwny miga tłum;
Kolorowe światła lśnią
Wyiskrzając złoty szych,
Katedralny stary tum
Czasem świeci w światłach tych.

Kwiaty lecą z rąk do rąk,
Aż z powietrza bije woń;
Lecą nakształt barwnych wstąg —
Oto kwiaty: rzucaj, masz!
Oczy twoje, oczy słoń!
Ktoś ci kwiaty rzuca w twarz...

Śmiechy, krzyki!... Wet za wet
Kwiatów mu rzuciłaś pęk...
Kastaniety słychać, flet,
Brzęczą struny harf i lir —
Krzyki, śmiechy, hałas, brzęk,
Upojenie, zamęt, wir...

Różnobarwny wkoło tłum,
Tysiąc świateł skrzących lśni;
Słychać dziwny gwar i szum,
Jakichś masek ciągnie rój — . —
Płomień pali się w mej krwi,
Chodźmy w tłum ten, skarbie mój...

To karnawał — zamęt, wir,
Upojenie, obłęd, szał,
Brzęczą struny harf i lir,
Słychać śmiechy, krzyki, śpiew,
Zda się — Bacchus dawny wstał
W gronie swoich pustych dziew.

W tę cichą, senną...

W tę cichą, senną, wonną noc majową
Czuję twe ręce ponad moją głową —
Słonią mi świat...
O! Gdyby więcej pod rękoma twemi
Niepomnieć życia i siebie i ziemi
I złud i strat...

Tyle lat zbiegło...

Tyle lat zbiegło, a jam jeszcze do tej
Nie przywykł myśli, że dla mnie stracona,
Że nie zostało mi nic, prócz tęsknoty.

Jeszcze wyciągam ku niej me ramiona,
Jeszcze jej czekam, jeszcze marzę o niej,
A wiem, że nigdy nie powróci ona.

Obraz jej wszędzie, zawsze za mną goni,
Wiecznem jest niebem mojego marzenia
I wiecznem dnem jest w uczuć moich toni.

Czas biegnąc wiele niszczy i odmienia
I wiele grzebie w niepamięci pyle,
Lecz jej nie wydrze z mojego wspomnienia,

Jak jej nie wydarł, choć lat zbiegło tyle.

Gdzieś ty...

Gdzieś ty, o gdzieś ty?!... Kocham cię jedyna,
Kocham cię zawsze... Zdasz mi się tak blizka,
Że tylko rękę wyciągnąć ku tobie,
A ręka, zda się, twą rękę uściska.

I tylko ramię wyciągnąć ku tobie,
A ramię kibić twą obejmie wiotką,
I tylko lekko zgiąć cię, a ku piersi
Ty się pochylisz i uśmiechniesz słodko...

I tylko usta wyciągnąć, a twoich
Ust się poczuje pocałunek... Nieba!
Aby już nigdy nie zatęsknić do niej,
Ileż lat jeszcze przetęsknić potrzeba?...



NOWINA

Był dzień słoneczny. Wśród zieleni,
Wśród łąk, co się od słońca płonią,
Wśród winnic, łanów i strumieni
Z lekkim się wiatrem palmy kłonią
I gdzieś daleko szafirowe
W świetlistej głębi lśni się morze,
A lilie na łęg; na dąbrowę
Jako anioły zeszły boże.

W dali ku studniom, co się bielą,
Pasterze pędzą poić stada;
Idą z wygiętą w łuk gardzielą
Wielbłądy, ówdzie krów gromada.
Pędzą swój biały huf koziarze:
Pies go obiega w krąg i szczeka,
Bydło poryka — na obszarze
Jak sen widnieje to z daleka.

I w pośród zboża, w złotej toni
Pszenicznych łanów, widać żeńce:
Żniwiarz ostrzonym sierpem dzwoni,
Powróseł żółte rzuca wieńce.

Ówdzie dziewczęta na wóz zniosły
Związane snopy: siwe woły
Przez kaktusami step zarosły
Wóz z wysokiemi ciągną koły.

I tam i ówdzie drogą polną
Dziewczyna, niosąc dzban na głowie,
Wysmukła, gibka, idzie wolno
Nucąc po łęgu, po dąbrowie.
Jej cień na lilie białe pada,
Jej głos gdzieś po winnicach płynie —
Idzie ku studni między stada,
Jakby widzenie na dolinie.

Jedne się snują bliżej, dalej —
Bóg swe uśmiechy rozsiał, zda się —
Świetlą się na powietrznej fali,
Na szafirowym morza pasie.
A tam, sięgając w przestrzeń okiem,
Widać wędrowną karawanę:
Kędyś w przezroczu mgieł głębokiem
Niknie, jak pary wód rozwiane.

Tak w okrąg cicha, jasna cała
Widniała ziemia w owej porze;
Taką się Bogu śnić musiała,
Gdy w bezbytowym trwał przestworze,

Gdy marzył, gdy Mu przed oczami
Wstawało zwolna wszechstworzenie;
Gdy upojony temi snami
Rozpostarł ręce na przestrzenie...

A tam, na wzgórzu, gdzie palm kilka daje
Cień przedsłoneczny i różane gaje
Pachną w spiekocie: oparty plecyma
O palmę młodzian siedzi, dziecko prawie;
Ręce na piersiach skrzyżowane trzyma
I patrzy... Twarz mu zdobi puch młodzieńczy,
A w oczach jego i w całej postawie
Jakaś się piękność nieziemska przejawia,
I włos złocisty, co mu głowę wieńczy,
Zda się, jakoby jasna aureola
Wyniosłe, białe czoło mu okola,
I wiatr, co z włosem tym lekki rozmawia,
Czasem jakoby królewską koronę
Na owe czoło rzuca zamyślone...

Młodzieniec patrzy — przed jego oczyma
Cały się przestwór rozpościera świata:
Widzi, jak trzoda ku studniom się zlata,
Widzi błędnego wśród piasków pielgrzyma,
I żeńców w zbożu na pszenicznym łanie
I dziewki z dzbanem wysokim na głowie,
Lilie na łęgu hen i na dąbrowie —

I słyszy dziewcząt idących śpiewanie
I widzi morze kędyś rozścielone
I na niem żagle w dali bielejące,
I ponad sobą błękitu rozponę,
A tam: Jehowa... Bóg, co stworzył słońce,
Utwierdził gwiazdy na niebieskim sklepie
I stworzył glistę pełznącą po stepie
I stworzył lilię i z dumną postawą
Stworzył człowieka na swe podobieństwo
I rzucił w raju na niego przekleństwo
I za żywota cel dał mu swe Prawo...
Jeżeli patrzy teraz tam ze stropu
Tu na tę ziemię wśród światła potopu;
Jeżeli słyszą w niebie Jego uszy
Słodki śpiew dziewcząt, albo flet pastuszy;
Jeżeli widzą w niebie Jego oczy
W pszenicznej fali żeńców lud roboczy;
Jeżeli widzi tam gdzieś na błękicie
Całe to jasne, piękne, błogie życie,
Całe to szczęście podsłoneczne ludzi:
On, Wszechwiedzący Pan, tem się nie łudzi,
On wie, pod tego wesela powłoką
Jak ból i smutek zagryzł się głęboko,
Ile jest nędzy, ile klęsk, cierpienia,
Ile rozpaczy i ile męczeństwa
Tam, na tej ziemi, pośród społeczeństwa...
On wie, że gdyby wszystkie się westchnienia

Żałosnych piersi w jeden obłok zlały:
Sklepby niebiosów przysłoniły cały...
On wie, że gdyby wszystkie łzy palące
Na słońce padły: zgasiłyby słońce...
On wie, że gdyby wszystkie skargi ziemi
Buchnęły w nieba strop za jednym razem:
Takimby pierś Mu przywaliły głazem,
Żeby się ugiął i cofnął przed niemi
I precz aniołów pierzchłaby gromada
Widząc, że Bóg się cofa i upada...
On wie, że gdyby tam, w niebios sklepieniu,
Serce ludzkości załkało i jękło:
Gwiazdyby spadły i nieboby pękło...
On to wie, On Bóg, On Pan Wszechstworzeniu,
On, który gwiazdy przytwierdził na sklepie
I stworzył glistę pełznącą po stepie
I stworzył lilię i z dumną postawą
Stworzył człowieka na swe podobieństwo
I w raju rzucił na niego przekleństwo
I za żywota cel — dał mu Swe Prawo...

On Pan!... Zaiste, Wszechmocny, Wszechwiedny,
Za klątwę Twoją cóżeś dał ludzkości?
Nie mów, żeś począł Stworzenie w Miłości!
Nie mów! Wśród wszystkich Myśli Twej Wszech-
[duszy,
Wśród wszystkich Mocy Jej: brakło tej jednej!

Tej najpiękniejszej! Tej nad wszystko w świecie!
Tej, co umarłe jeszcze w grobie wzruszy!...
Nie mów! Stworzyłeś świat sobie na chwałę:
Chciałeś wielbiony być w śródpolnym kwiecie,
Chciałeś sławiony być morzem i górą,
Jasnością dzienną i nocą ponurą,
Przez gromy krwawe i przez śniegi białe;
Chciałeś sławiony być wichrowym dzwonem,
Rykiem lwa w puszczy, żywotem i skonem,
Chciałeś wielbiony być zboża nasieniem,
Owocem drzewa i wina dojrzeniem;
Chciałeś sławiony być pustyń ogromem,
Salomonowym w podziw świata domem,
Ale jakiegoż twarz zjawiłeś Boga?
Jakiegoż Ojca i jakiegoż Pana?
Jakaż ludzkości najobficiej dana
Myśl o Swym Bogu, o Swym Panu?... Trwoga!...
Przestrachem jesteś! Jesteś nad odmętem
Burzą wiszącą nad kruchym okrętem,
Pożarem jesteś pod uśpionem siołem,
Moru ku miastom idącym aniołem,
Łuną wulkanu nad winnice skrzącą,
Szarańczą, która krąży nad zagony,
Trzęsieniem ziemi pod wyspą kwitnącą:
Strachem i trwogą jesteś uwielbiony!
Ból i cierpienie, mękę i konanie,
Wszechzło ludzkości dałeś pełną ręką,

Wszechzło rzuciłeś ludzkości — Wszechpanie!
Pod stopą Twoją ludzkość zgięta męką
Gdy Cię, grożnego, jak piorun, nim padnie,
Straszliwy Samum wiejąca wszechwładnie,
Gdy o twarz błaga i wolę łaskawą:
Ty, Pan i Ojciec, cóż jej dałeś?... Prawo!...
Rzuciłeś z nieba rozkaz: wielbij Boga!
Chwal Go, drżyj przed Nim, ty prochu, ty pyle!
W całej twej dumie i w całej twej sile
W obliczu Jego jesteś mniej niż owy
Płód ziemi, który depce twoja noga —
Jesteś igraszką, źdźbłem w rękach Jehowy!
Po toś stworzony, byś cierpiał i sławił
Tego, coć po to, abyś cierpiał, stwarza:
Boga twojego imię jest Mocarza,
Boga twojego imię jest Wszechpana —
On świat postawił i ciebie postawił,
Przezeń moc wichrów i burz powiązana,
Lecz nie miłuje twój Bóg — On przeraża!...

Od pól, od winnic idą wonie,
Słońce w otchłani modrej tonie
I rzuca blaski z niej różowe
Na przeźroczystych chmur posnowę.
Cicho, łagodnie dzień zapada,
Od studni wolno idą stada,
Idą i żeńce już z pszenicy,

A tam pielgrzymi z karawaną
Pod murem miasta w polu staną.
Zstępuje wieczór złotolicy
I patrzy z nieba jasną twarzą,
A wszystkie barwy na niebiosach
Zdają się dumać, śnią i marzą...
I owo słońce w ognia włosach,
Co tam, nad góry wolno spływa,
I łąki sienne, łany w kłosach
I morza przestrzeń białogrzywa:
Wszystko się marzyć zda... O ziemio!
O jakżeś piękna w tej godzinie!
Zanim noc przyjdzie, aby snem ją
Otulić ciemnym, zanim zginie
To oko nieba, co się chyli...
O ziemio! ziemio! O tej chwili
Któż cię nie kocha?! Sercež czyje
Dla tej piękności twej nie bije?!
Czyjeż ramiona się ku tobie
Nie rwą, by objąć cię uściskiem?
Miłości któż nie czuje w sobie,
Któż nie jest źródłem jej, ogniskiem?
Ktoby własnego życia darem
Nie kupił szczęścia ci, o świecie?
Oczarowany twoim czarem
Któżby cię nie chciał widzieć jedną
Harmonią szczęścia? Ból, co rwie cię,

Komuż okrutną nie jest nędzą?!...
Nim te różowe chmury zbledną,
Nim gwiazdy zalśnią na błękicie,
Nim księżyc srebrną zalśni przędzą:
Dla szczęścia twego weź choć życie!...

Czemże jest człowiek i czegóż mu trzeba?
Trzeba mu świata duszy, trzeba w górę
Wznieść go nad życie gorzkie i ponure,
Trzeba mu światła nad oczyma, nieba!
Nie tego nieba, gdzie się groźny chowa
Gniew i pioruny dzierżący Jehowa,
Ów Bóg zawistny w miłości [1]), co karze
W trzeciem i czwartem pokoleniu winy;
Co Sobie każe budować ołtarze
I krwi bydlęcej cieszy się ofiarą;
Bóg, który karci lud przez Filistyny
I wieczną nad nim wisi gniewu marą,
A w gniewie z Pana przemienia się w kata:
Lecz nieba, kędy mieszka Ojciec świata,
Bóg pełen łaski i pełen litości,
A żąda tylko dla Siebie: miłości...
Trzeba, by człowiek ponad nędzę życia
Podnosił oczy, aby oderwany
Myślą od ziemi: złego oceany

[1]) Exodus XX. 5.

Przepływał, wiedząc, że jest tutaj chwilą,
A tam — ma wieczność całą do zdobycia,
Przed którą czoło aniołowie chylą...
Bóg może ziemi żałować [1]), w przestworze
Może uczynić ją prochem i niczem;
W Wszechmocy Swojej i Swojej Wszechwoli
Może ją komet w miał roztrzaskać biczem,
Lecz jej szczęśliwą uczynić nie może!
I nic i nigdy z mąk jej nie wyzwoli.
Cierpienie świata jest rdzeniem i szpikiem,
Człowiek człowiekiem jest i męczennikiem.
Lecz jeśli dusza wzniesie się nad kości,
Wiecznego życia oddany miłości,
Głuchy na ziemi szept, który jest z czarta;
Jeżeli jego źrenica otwarta
Na żywot wieczny, na świat ślepą będzie;
Jeżeli wyjdzie za ziemi krawędzie
Myślą i wolą: świat mu będzie błotem,
Ciało znikomą gliną, prochem życie,
Ból wzgardą będzie! On, duchem w błękicie,
Żyć będzie ducha swojego żywotem!

A gdy tak marzy chłopiec młody
Na ziemię, co się w blasku nurza,
Patrząc z pod cichych palm ze wzgórza:

---

[1]) Genesis VI. 7.



Oto dzieweczka, co jagody
Zbierała w króbkę, idąc z boru
Ścieżyną mimo, niespodzianie
Śliczna i jasna przy nim stanie —
I zarumieni się i z cicha
Dobrego życzy mu wieczoru
I tak nieśmiało się uśmiécha,
Jak dziecko. Na jej smukłą szyję,
Słońce blaskami złota bije
I na jej piersi przysłonięte
Sieje blask złoty. Tak w ponętę
Półnieświadomie strojna swoją
Jako rozkoszy objawienie
Stoi — jej oczy czarem poją,
Miłością jest jej każde tchnienie.
Wonczas, przed wieki, gdy Cheruby
Zrzekając się swej świętej chwały,
Z córkami ziemi ziemskie śluby
Zstąpili zawrzeć, a Bóg wody
Potopu zesłał [1]: tej urody
Dziewice ziemi być musiały.
I spojrzał na nią młodzian: oczy,
Pełne promieni i zachwytu,
Pełen Widzenia wzrok proroczy,
Co niezmierzone mierzył światy;

[1] Genesis VI.

Zeszedł mu na nią z pod błękitu —
A w tejże chwili dziewczę owe
Uklękło i kraj jego szaty
Do ust podniosło... I na głowę
Włożył jej rękę... W tej godzinie
Uczuł moc, której nie znał wprzódy —
I zdało mu się, że narody
Po całej ziemskiej wszerz dziedzinie,
Do jego szaty chylą głowę,
Jak oto czyni dziewczę owe;
I zdało mu się, że na skronie
Całej ludzkości on swe dłonie
Kładzie, a balsam z nich w jej łono,
W jej pierś się zlewa upragnioną...
I zdało mu się, że gdy wzniesie
Ramiona swoje i rozłoży:
Obejmie niemi wszechświat boży
I dłonie oprze na bezkresie...
A zaś dzieweczka wstawszy z ziemi
We łzach podniosła jasne lice
I z łzami w oczach świecącemi
Szła między łany i winnice.

Jak ze stlałego wpół ogniska
Płomieniem jeszcze strzelą głownie:
Słońce ostatnie blaski ciska
I gaśnie. Na niebieską równię

Ściele się pomrok ze srebrnemi
Gwiazd kagańcami i powoli
Zasnuwa ziemię. Już na roli
Fioletowe barwy ćmią się
I las, stojący cały w pąsie,
Zczerniał. Już góry różowemi
Szczytami tylko, jak pochodnie,
Świecą w błękicie. Już zachodnie,
Chłodne powiewy ponad knieją
Płynące ciemną, z szeptem wieją.
Świat się ucisza. Skrzyp daleki
Wozów z pszenicą słychać jeszcze — —
Cichnie... Już złote lecą deszcze
Świetlnych owadów, w gajach płoną — —
Już przez dolinę uciszoną,
Ku gwiazdom zaszumiały rzeki...

O jakimżby piękności cudem
Była wieczorna ta godzina,
Gdyby świat teraz czuł nad sobą
Boga, nie władcę ponad ludem,
Lecz Ojca, który kocha syna...
Oto wieczorną taką dobą
Anioły białe jak łabędzie,
Powinny boskie nieść orędzie...
Oto o tej godzinie w górę
Podniósłszy oczy, tam, z padołu,

Człowiek powinien widzieć chmurę·
Aniołów boskich, które siołu
Sen dobry niosą... Oto z łona
Ludzkości winna być w niebiosy
Taka modlitwa poniesiona
Przez te anioły; takie głosy
Winny słyszane być w przestworze:
Aby bieg gwiazdy zatrzymały
Słuchać tej ziemskiej Twojej chwały!
Miłości tej dla Ciebie, Boże!
Oto świat cały, co w sen tonie,
Z jakąś ogromną myślą świętą
Zasypiać winien, czując w górze
Duchowi swemu i naturze
Duszę na oścież odemkniętą...

I oto jedna jest ku temu droga:
Światu nowego trzeba stworzyć Boga...

Świecie! Naturo! Żywioły! Ty wodo!
Ty ogniu! Życie i śmierci! Wszechbycie!
Patrzcie! Słuchajcie! Oto nowe życie
Na świat zstępuje... Oto nową, młodą
Epokę ziemia cała rozpoczyna...
Patrzcie! Słuchajcie żywioły!... Słyszycie?!
Oto się rodzi, powstaje Nowina!...
Błogosławioną będzie ta godzina,

Ziemia przeminie i niebo przeminie,
Nim pamięć o niej...
Oto człowiek zwraca
Oczy ku niebu... Już mu nie jest praca
I trud i męka karą... W tej godzinie
Serce się ludzkie i dusza przemienia.
Człowiek na ziemię przyszedł — dla zbawienia, —
Dla szczęśliwości wiecznej, wiecznej chwały...
Miłość poczęła go — do tej Miłości
Wróci... Już nie drży przed groźnym Jehową:
Ten Bóg, co dziś się objawia ludzkości,
Błogosławieństwem i Łaską jest cały...
O upojenie! O nieziemska chwilo!
O objawienia prześwięta godzino!...
Przed chłopca duszą aniołowie płyną
I białe lilie z rąk ku niemu chylą...
Już on się w białe ich szeregi wplata,
Już między nimi jak ich brat gdzieś leci — —
Nie! On już nie jest więcej z tego świata!
On jest aniołem!...
O święta godzino!
Świat cały słońcem tak olbrzymiem świeci,
Że zda się jedną światłością rozlaną...
Błogosławiona, szczęśliwa dziedzino!
Szczęsna ludzkości!... Niech ci, co śpią w grobie,
Z grobu swojego ocknięci powstaną,
By żyć raz drugi... Cokolwiek przeżyli

Niczem jest wobec tych, co przyjdą chwili,
Świat rozpoczyna żywot w Nowej Dobie...

Ten Bóg, co teraz ludzkości się rodzi,
W grzmotach piorunu i w ogniach nie chodzi,
Nie rozkazuje, nie klnie, nie przeraża:
Ale On schodzi do chaty nędzarza,
Omdlewające pokrzepiać On spieszy,
Chleb ducha daje mrącej z głodu rzeszy,
Ubogich, w łachman odzianych i rany,
Do piersi tuli miłością wezbranej;
On burzy gromów na ludzkość nie stacza —
Nie kamienuje Ów Bóg — On wybacza.
Najbliżsi Jemu nędzni, słabi, mali,
Wydziedziczeni, wzgardzeni od świata;
Najdroższą Jemu jest największa nędza —
Ten Bóg się świątyń ogromem nie chwali,
Za klęską wrogów On się nie upędza,
On ludziom w ludziach każe widzieć brata,
W jednej jedynej tylko cnocie gości
I w jednem Słowie: w wszechbratniej Miłości.
Dla Boga Tego niema plemion, ludów,
Amorejczyków, ani Izraela;
Ten Bóg połącza, ale nie rozdziela;
Wybrani Jego: to ból i cierpienie,
To ci, co giną od męki i trudów;
Tłum nędznych, słabych: Jego pokolenie.

We Wszechmiłości jednem wspólnem Słowie
On świat ogarnia i jedyne prawo
Stanowi: Miłość. Jozuego krwawą
Tarcz depce nogą, gnie miecz Gedeona:
Lilię białą zrywa na dąbrowie
I światu daje za swoje znamiona.
On chce, z gałązką przychodząc oliwy,
Świat nie pobożny widzieć, lecz szczęśliwy...

Przez jakąż drogę iść ku temu trzeba,
Aby Jehowę strącić z Jego nieba,
Stopę na prawie Jego oprzeć srogiem
I świat napełnić nowym, dobrym Bogiem...

On tam na niebie nie włada bezwładnie,
Bez strasznej walki On z nieba nie padnie;
Podniesie Swoje ramiona olbrzyma,
Sto słońc zapali Swojemi oczyma,
Sto gwiazd w miał zetrze Swoich brwi ściągnieniem,
Sto mórz obali Swego głosu grzmotem,
Sto gór rozmiażdży zębów Swych zgrzytnieniem,
Sto wysp zatopi Swego tchu łoskotem...
Na Swą obronę wezwie lud Swój cały,
Lud, który wywiódł z egipskiej niewoli,
Przed którym czynił, iż w proch upadały
Narody ziemi; który z Jego woli
Nie tknięty falą, przeszedł w poprzek morze,
Trąbami mury wywrócił w Jerycho,

I jak purpurą odział siebie pychą,
Nad wszystkie ludy dumny — plemię boże...
Oto się ramion podniosą tysiące
By go podtrzymać na niebieskim sklepie...
Biada, kto oczy podnosi na słońce:
Oślepły padnie... Biada, kto na stepie
Samum wyzywa, albo lwa w pustyni...
Biada — nad królem kto sądzenie czyni...
A jednak — spojrzyj! Oto rękę wznoszę
Ku niebu — widzisz?! — rękę dziecka prawie
I jak Bóg nowy światu błogosławię!
Patrz! Widzisz?!... Oto kapłany Twe płoszę —
Pierzchają... Ofiar Twoich dym ku ziemi
Przypada, moc Twa łamie się i kruszy:
Boś Ty, Bóg, błyszczał przed oczy ludzkiemi,
A jam im Boga wskazał w własnej duszy!
Bo oto Bóstwo, co w ich piersiach żywie,
Budzę i wołam: zbudzone powstaje —
Moc obudziłem potężną straszliwie:
Duszę człowieka!... Jak wicher się zrywa!
Morza przepływa i przelata kraje!
Łańcucha Twego pękają ogniwa!
Pada Twój Zakon u Epoki proga:
W swej własnej duszy człowiek ujrzał Boga!...

Znam los proroków... Możesz lud rozbestwić,
W kopcu kamiennym mogą skryć me ciało,

Lecz myśli mojej nie zdołasz znicestwić!
Ty masz lud jeden — ja mam ludzkość całą!
Patrz! Wieki idą!... Oto się jak fale
Toczą w olbrzymim nieprzerwanym ścieku:
Cóż niosą wody? Patrz! W każdym się wieku
Myśl ma odbija, jak światło w krysztale.
Wieczność się toczy — wieczności ogromy
Wypełnia Sobą Bóg światu widomy.
Nieprzeliczone pielgrzymki ludzkości
Jak Twój słup z ognia wiedzie blask Miłości...
Przez jakie walki, przez jakie cierpienia
Przejdzie ma Dusza w człowieka wszczepiona,
Nim się doczeka mego Objawienia
Na całej ziemi, zanim moje Słowo
Wszechświat obejmie zwycięzko w ramiona
I Miłość świata uczyni królową —
Lecz jako gwiazdy są nad moją głową,
Słowo me może konać, lecz nie skona!
Nigdy już odtąd ludzkość z przed swych oczu
Nie straci Myśli najwyższej na ziemi —
Tonąć w mgle może, błąkać się w pomroczu,
Może opuszczać, gubić światła drogę:
Lecz wrócić musi! Przed oczy ludzkiemi
Światło Miłości — już zgasnąć nie mogę.

Wyznawców moich tłum dziki poniża,
Proroki moje przybite do krzyża,

Słowo me śliną oplwane, wyklęci
Kapłani moi — świat tryumfy święci,
Urąga mieczem i tarczą Goliata,
Faraonową mocą uciemięża,
Jak Kain straszny... a oto zwycięża
I świat owłada Myśl nie z tego świata...
Patrz, o Jehowo! Patrz!... Czyś tam przed wieki
Krążąc w bezmiarze widział to Widzenie?!
Oto jest ziemia cała, jak owczarnia,
Jeden jest pasterz — świat cały ogarnia
Cisza i Pokój... Świat nakształt pasieki
Pełnej słodyczy czci jednę królową:
Miłość — Miłości wiekuiste Słowo...

I ty dzieweczko bądź błogosławioną,
Coś Myśl poznała we mnie i uczciła:
Duszy uroda będzie twoja siła,
Piękności matką będzie twoje łono...

Już noc się zniża na dolinę,
Lite gwiazdami niebo lśni się;
Świecą się rzeczne fale sine
Na księżycowej złotej rysie.
Różane gaje znikły w mroku,
Ściemiły się łęgi i dąbrowy —
Na niebios tylko błyszczy stoku
Miedziany okrąg księżycowy.

Cisza niezmierna... Śpi świat cały...
Sen mgliste swe rozpostarł skrzydła:
Na palmy poblask pada biały
I w liściach srebrne dzierga sidła
I gdzieś na wielką noc pustyni
Jasność zesnuwa się księżyca;
Na łąkach jakby szron się czyni
I z bagien złoty blask prześwieca.

Już dziwne szepty słychać w koło,
Szeleszczą piasek, trawa, liście;
Ożyło zda się każde zioło,
Ćmy lecą, świecąc się srebrzyście;
Już nietoperze błądzą mrokiem,
A tam trzask suchy słychać chrustu —
To sarny idą wiotkim krokiem
U strumiennego pić upustu.

Noc płynie wolno. Coraz świetlej
Księżyc na środek nieba wschodzi;
Coraz promienniej świat się świetli,
Aż cały w jasnych mgieł powodzi
Stanął, cudowne uroczysko,
Sen marzącego Stworzyciela —
Zda się, anioły lecą nizko
I od ich skrzydeł się zabiela...

Wsparty o palmę młodzian marzy:
Śni się dojrzałym już, już mężem...
Idzie na tłumy, na mocarzy,
A serce tylko ma orężem,
A duszę tylko własną Swoją
Niesie jak sztandar między ludy;
A tylko wiara jest Mu zbroją,
Że Miłość może działać cudy.

Idzie — jak cały świat szeroki,
Nowego Boga niesie w Sobie;
Pokój zwiastują Jego kroki,
Żywot zwiastują w Nowej Dobie...
A On Sam, pieczęć wiary Swojej,
Do końca wieków wszechludzkości
Na oczach krwią oblany stoi,
Krwią Odrodzenia, krwią Miłości.

SPIS RZECZY.





